NIEWYGODNIE NA KLĘCZKACH
Bogdan Miś

W KRĘGU IZABELI
Ireneusz J. Kamiński

GŁOSY O MŁODEJ PROZIE
Stanisław Jan Królik ◆ Stanisław Andrzej Łukowski ◆ Henryk Makarski ◆ Dominik Opolski

Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 13 VII 1975 Nr 14 (578) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

LUBLIN. LIPIEC 1944

Fot. J. Trachman

OSTATNIE STRZAŁY W BITWIE O LUBLIN

Leszek Siemion

WOJSKA radzieckie wyzwoliły 22 lipca Chełm i ruszyły w kierunku Lublina. 3 korpus pancerny z marszu sforsował rzekę Wieprz pod Łęczną i utworzył przedmoście. Pod koniec dnia czołówki pancerne osiągnęły Niemce i Ciecierzyn oraz podeszły pod Lublin.

Kiedy radzieckie czołgi rozpoczęły szturm Lublina, w mieście wystąpiły do walki siły miejscowego podziemia. Równocześnie oddziały partyzanckie i konspiracyjne placówki atakują oddziały nieprzyjaciela wycofujące się drogami na północ i południe od Lublina; uporczywa obrona miasta miała stanowić osłonę ich bezpiecznego odejścia na przeprawy wiślane. Działania partyzanckie zamierzenie to zupełnie zniweczyły.

Na południe od Lublina siły partyzanckie są największe, toteż staczają najwięcej walk. 24 lipca oddziały niemieckie całkowicie znikają z terenów położonych na wschód od linii Lublin — Krzczonów. W ślad za nimi nadciąga 7 korpus kawalerii gwardii, który obchodzi Lublin od południa.

Wieczorem 24 lipca padają ostatnie punkty oporu w Lublinie. Kilka tysięcy Niemców wędruje do niewoli, wraz ze swym dowódcą gen. Moserem; kilka rozbitych grup wymyka się z miasta i ucieka w kierunku zachodnim. Jedna z nich, licząca do 100 ludzi, w tym około 30 oficerów, maszeruje na Motycz, lecz czuje się wciąż zagrożona wskutek głębokiego oskrzydlenia przez radzieckie czołgi prące w kierunku Puław. Inne grupy uciekają przez Niedrzwicę i Wilkołaz. Słabsze z tych grup schodzą z traktów na polne drogi, gdyż główne szlaki są blokowane przez partyzantów. Jedna z nich znalazła się o świcie w niewielkim lesie Zieleńszczyzna położonym między Radawcem Małym a Strzeszkowicami.

Teren na zachód od szosy Lublin—Kraśnik również był pełen partyzantów i od paru dni rozbrzmiewał odgłosami walki. Placówka konspiracyjna w Babinie, złożona z plutonu BCh i plutonu AK, zmobilizowała się samoczynnie jeszcze 22 lipca i była w pełnym pogotowiu. Dowództwo nad nią objął ppor. „Heliodor" (Henryk Jaroszyński), z zawodu nauczyciel.

Podobną gotowość przyjęły inne, sąsiednie placówki, co okazało się nader przewidujące. Jeszcze tego dnia placówka z pobliskich Bełżyc rozbroiła kilkudziesięcioosobowy oddział niemiecki, biorąc jeńców i zdobycz. Natomiast 24 lipca grupa niemieckich rozbitków licząca około 30 ludzi ciągnęła z Radawca Małego na Jaroszewice. Zawiadomiony o tym pluton z Jaroszewic, zasilony szybko przez placówkę z Bełżyc, zastąpił nieprzyjacielowi drogę na terenie swej wsi. Rów-

Dokończenie na str. 4—5

POZNALI SIĘ W SIELCACH

Zygmunt Mikulski

ZOSTAŁO nieraz spraktykowane, że mówić o związkach żyjącego pokolenia z pachnącą prochem historią to narazić się na dwa niebezpieczeństwa. Pierwsze — że zamiast jednostkowych osobowości przedstawi się wykładniki procesów i zjawisk ogólnych, drugie — że nie uda się zająć pełnej uwagi pokolenia nie obejmującego owej historii swoim życiorysem. Właściwie — prawidłowość. Nawet wypada wyrazić zadowolenie, że pokolenia następne z określeniami „historia", „własne w niej uczestnictwo" mają dane łączyć historię nauki, techniki, cywilizacji, obyczajów, mód i kierunków artystycznych, a nie ofiar i zmagań o byt narodowy.

Jakże jednak pozostawić na szacownym, ale tylko rocznicowo odwiedzanym miejscu pamięci ten kawał naszego zbiorowego losu, jakim jest udział Polaków w ostatniej wojnie. Szczególnie, kiedy ta pamięć ma sposobność ocierać się o realia aktualności. Na przykład „byłem pod Lenino". Owszem, nie za często słyszymy te słowa, wszelako znajdują one swe miejsce w żywiole mowy, w potoku spraw idących kanałem codziennego dnia, w polu zjawisk formujących obraz naszego, tego jeszcze nie przerosłego w historię, życia. I każdy, kto te słowa wypowiada, powoduje akt świadomości, że przecież nie wszystko

Dokończenie na str. 4

W 25-lecie Układu Zgorzeleckiego

PUNKT ZWROTNY

W 25-LECIE podpisania w Zgorzelcu układu o wytyczeniu ustalonej i istniejącej granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej odbyła się w Goerlitz braterska manifestacja obu zaprzyjaźnionych narodów. Premierzy Polski i NRD — Piotr Jaroszewicz i Horst Sindermann wygłosili okolicznościowe przemówienia.

Dzień 6 lipca 1950 roku stanowi niezwykle ważną datę w długoletniej historii stosunków polsko-niemieckich, punkt zwrotny w tysiącletnich dziejach. Wysokie układające się strony — Polska Rzeczpospolita Ludowa i Niemiecka Republika Demokratyczna stwierdziły, że zawierają ten układ *pragnąc dać wyraz woli utrwalenia pokoju powszechnego i chcąc przyczynić się do wielkiego dzieła zgodnej współpracy miłujących pokój narodów* oraz *chcąc po tragicznych doświadczeniach hitleryzmu stworzyć niewzruszone podstawy do pokojowego i dobrosąsiedzkiego współżycia obu narodów.* Młode państwo niemieckie, państwo robotników i chłopów, zaakceptowało w ten sposób postanowienia poczdamskie i zdecydowanie odcięło się od zaborczych podbojów niemieckich klas posiadających.

Pierwej się niebo i ziemia połączą niż Niemcy i Polacy. Bijcie Polaków, póki im nie odejdzie ochota do życia — nawoływał przed wiekiem Bismarck. A w kilkadziesiąt lat później Hitler mówił na odprawie z wyższymi dowódcami Wehrmachtu w przeddzień napadu na Polskę: *Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem... Bądźcie bez litości. Bądźcie brutalni. ...Prawo jest po stronie silniejszego. Trzeba postępować z maksymalną surowością... Wojna ma być wojną wyniszczenia.*

W Polsce przyszła kolej na inne kraje, niemal cała Europa znalazła się pod faszystowskim butem. Ale ostatnie słowo nie należało już do najeźdźców.

Hitlerzy przychodzą i odchodzą. Naród niemiecki pozostaje. Stalin powiedział tak w chwili, gdy wynik zmagań został już przesądzony, trzeba było patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. I tak tę przyszłość ukształtować, aby nigdy nie powtórzył się rok 1933. I rok 1939. I rok 1941.

Dzieje powojenne dobrze są znane zwłaszcza średniemu i starszemu pokoleniu. My, żyjący między Bugiem a Odrą, szybko zrozumieliśmy, jaką szansę dla pokoju w Europie stwarza utworzenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, państwa, które stanęło wraz z nami w jednym szeregu we wspólnej walce z siłami imperializmu niemieckiego. Przywódcy NRD kładąc swe podpisy pod Układem Zgorzeleckim potwierdzili nieodwracalny charakter granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W dwadzieścia lat później, kierując się realizmem politycznym, granicę tę uznało i drugie państwo niemieckie, Republika Federalna Niemiec.

Działanie dla pokoju jest największą powinnością — stwierdził Edward Gierek na manifestacji oświęcimskiej w czasie pobytu w Polsce prezydenta Francji Valerego Giscard d'Estainga. Kraje socjalistyczne przywiązują wielką wagę do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Chodzi o to, aby proces odprężenia stał się nieodwracalny. Pierwsza i druga wojna światowa doprowadziły ludzkość do krawędzi katastrofy, a niektóre narody — do biologicznej zagłady. Czym mogłaby stać się trzecia wojna? Broń atomowa, tak straszliwa, już wkrótce może nie być najpotężniejszą. Co człowiek wymyśli jutro, pojutrze, jeśli nie położy się kresu wyścigowi zbrojeń?

Pokój jest największym skarbem. Przykład stosunków dobrosąsiedzkich, przyjacielskich stosunków między Polską a NRD ma znaczenie międzynarodowe. *Ćwierćwiecze przyjaznej współpracy nad granicą pokoju na Odrze i Nysie Łużyckiej przekonywająco udowadnia potęgę idei socjalizmu, prawdziwie łączącej narody* — stwierdził majowy (1975 rok) komunikat o spotkaniu czołowych przedstawicieli Polski i NRD.

W ciągu dwudziestu pięciu lat, które minęły od czasu podpisania Układu Zgorzeleckiego, przyjaźń między Polską a NRD, między narodami obu krajów, utrwaliła się i umocniła. Jej przejawem jest również otwarcie granicy, które przyczyniło się do bezpośrednich kontaktów między obywatelami Polski i NRD. Sprawę niezwykle ważną stanowi koordynacja planów gospodarczych, współpraca w nauce i technice, rozszerzanie zakresu specjalizacji i kooperacji produkcji, wzrost obrotów handlowych. I w tej mierze uczyniliśmy bardzo wiele.

Manifestacja w Goerlitz przebiegała w atmosferze braterstwa. Po obu stronach Odry i Nysy Łużyckiej wyrosło nowe pokolenie. Ludzie tego pokolenia, nie znającego wojny, będą kontynuować dzieło zapoczątkowane 6 lipca 1950 roku.

M. J.

Wspólny lot

JUŻ 15 lipca nastąpi start do pierwszego wspólnego lotu statków „Sojuz" i „Apollo" z połączeniem ich na orbicie. Zawarta w maju 1972 roku „Umowa między ZSRR a USA o współpracy w badaniach i wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej w celach pokojowych" otworzyła drogę do tego przedsięwzięcia.

w którym żyjemy

TY TYLKO... UMRZYJ

HASŁO: „Ty tylko umrzyj, a my zajmiemy się resztą" — lansuje pewne amerykańskie towarzystwo pogrzebowe. W rejonie Tuluzy (Francja) doszło ostatnio do wydarzeń tragikomicznych. Jedna z gmin przyznała monopol na uroczystości żałobne Towarzystwu Pogrzebowemu Południowo-Zachodniemu. Towarzystwo terroryzuje ludzi. Oto pewien stolarz zażądał przed śmiercią, aby jego siostrzeniec sam zrobił mu trumnę. Siostrzeniec stanął na wysokości zadania: trumna była ze stuletniego dębu, podgłówek z brokatu, kute uchwyty, suto złocone. Jednak przed wejściem do kaplicy cmentarnej zatrzymał go jakiś człowiek mówiąc: „Dostawa trumien jest zarezerwowana dla naszego przedsiębiorstwa. Zabieraj pan swoją trumnę!". Obawiając się skandalu, stolarz wrócił do domu i nie wykonał ostatniej woli wuja.

Rzecz w tym, że monopol powoduje zwyżkę kosztów pogrzebu. 2 tysiące franków — to suma niebagatelna, zważywszy, iż w innych miejscowościach pogrzeb może pochłonąć 700—1000 franków. A więc daleko mniej pieniędzy.

KRADZIEŻE ULICZNE

NA falę kradzieży ulicznych, które stale rosną, zwraca uwagę włoski tygodnik „Il Tempo". Jak to wygląda w praktyce? Oto przy wylocie autostrady złodziej wyczekuje na samochód z zagraniczną rejestracją, jedzie za nim aż do centrum i przy pierwszym „korku" ulicznym znienacka otwiera okienko po stronie pasażera (na ogół żonie kierowcy), porywa jej z kolan torebkę i znika. Bywa też, że jeden chłopak pluje na obwieszoną klejnotami rękę pani w futrze, drugi zaś podchodzi do niej z chusteczką pod pretekstem wytarcia dłoni, wyrywa biżuterię i znika na motorze wraz z trzecim wspólnikiem. Aby zapobiec temu zjawisku policja utworzyła specjalne oddziały do walki z tego rodzaju złodziejami. Oddziały te składają się z długowłosych, którzy krążą na „hondach", podobnych do tych, jakie mają rabusie. Jednakże bardzo szybko zostają rozpoznani.

Kradzież z motocykla doprowadzono do perfekcji w Rzymie, gdzie motocyklista potrafi zbliżyć się do swojej ofiary terroryzując ją jednocześnie, gdyż staje dęba na tylnym kole. Lecz szczególne sukcesy odnosi pewien tresor psów, który potrafi w ciągu dwóch tygodni przyuczyć wilczura do wyrywania portfeli męskich z rąk właścicieli. Przyucza się też do tego dzieci w wieku 8—11 lat, które nie ponoszą odpowiedzialności karnej.

DZIECI I KALKULATORY

NA Zachodzie w życie codzienne coraz bardziej wkraczają minikalkulatory. Czy powinny one również trafiać i do szkoły? Spierają się o to nauczyciele z rodzicami i rodzice między sobą. Producenci dobrze wyczuli, skąd wiatr wieje: błyskawicznie doprowadzili do zwiększenia liczby modeli i doprowadzili do zalania rynku kalkulatorami, których cena spadła w ciągu ostatnich dwóch lat o połowę. Nauczyciele, widząc kalkulatory na pulpicie szkolnym, rwą sobie włosy, uważając, że to koniec z rachunkiem pamięciowym. Od tej chwili zwycięstwo nad liczbami będzie zależało od szybkości manipulowania klawiszami, a nie od sprawności umysłu. Byłby to więc triumf obwodu scalonego nad neuronami, triumf maszyny nad mózgiem człowieka?

Powszechnie zaczyna przeważać zdanie, iż kalkulator powinien stanowić pomoc tylko dla tych osób, które nauczyły się już liczyć. Można więc pozwolić na używanie go uczniom, którzy zdobyli już pewną wiedzę matematyczną, a więc — w szkole średniej i na wyższej uczelni. Ale — są i takie opinie — kalkulator, pomimo obniżki ceny, nadal kosztuje sporo. Zagraża więc równości szans dzieci i młodzieży w szkole, ponieważ z komputerów będą mogły korzystać tylko dzieci rodziców, których stać na ten kosztowny wydatek, co postawi dzieci z bogatszych rodzin w korzystniejszej sytuacji.

GARMONDEM

PRZY końcu czerwca w studenckim klubie „Arcus" w Lublinie pojawiła się setka młodych Amerykanów, którzy zwiedzając nasz kraj, zawadzili o miasto nad Bystrzycą, holowani przez studencką agencję „Almatur". Byli zachwyceni przyjęciem! Trudno się dziwić: dzień wcześniej odbył się w „Arcusie" specjalny przegląd studenckich piękności, który wyłonił damską kadrę lubelskich uczelni na spotkanie z legendarnymi cudzoziemcami zza oceanu. Wybrane panienki otrzymały specjalne glejty upoważniające do wejścia do klubu i oczywiście przybyły w komplecie, powiewając przepustkami. Niektóre przybiegły znacznie przed wyznaczonym czasem — aby się zaaklimatyzować, czy co?!

Wśród Amerykanów był Murzyn, jego przodkami biali handlowali. Gdyby znał kulisy ubawu, mógłby mieć spora satysfakcję.

IJK

BARY mleczne uruchomiono dla młodzieży uczącej się, emerytów, dla tych, którym niezbyt się w życiu powodzi, także dla jaroszy. Istnienie tej gastronomii uzasadniają przede wszystkim tanie potrawy, oferowane w barach. Kto nie honoruje tej zasady, powinien trzymać ręce z daleka od mleka. Dać mu w dłonie rożen z kiełbasą, odebrać naleśniki z serem. Tymczasem obserwujemy, że lubelskie bary mleczne zaczynają podrygiwać w rytmie rentowności — strzelając prosto w serce niebogatej klienteli. Szefowie tych placówek doszli niedawno do wniosku, że Polak jada za mało zup. Zatem zwiększono ich gramaturę: z 350—400 g do 450—600. Ale tylko na papierze. Talerze bowiem pozostały takie, jak poprzednio i więcej płynu nie przyjmują. Więcej płaci konsument. Podobnie rzecz ma się w barze samoobsługowym „Astoria"; tutaj gramatura wynosi aż... 650 g!

TG

SŁUSZNIE pisze w „Polityce" Kazimierz Koźniewski: „Polska jest rozmaita". Autor zadaje pytania: czy rozwój miast wojewódzkich ma polegać na powielaniu wzorców już ustalonych? Czy to jest możliwe ze względu na dobro całego państwa, które nie będąc nigdy federacją siedemnastu odrębnych państewek, tym bardziej nie może być mechanicznym związkiem 49 jednakowych jednostek... I dalej: Czy tylko rozwój przemysłu stanowi szansę miasta wojewódzkiego? Czy wszystkie miasta w Polsce muszą być jednakowe i jednakowo wyposażone?

Na te wszystkie pytania należy za autorem odpowiedzieć przecząco. I żeby już nie wracać do sprawy renowacji Zamościa (o czym Koźniewski też wspomina) warto zapytać, co z chełmskimi podziemiami kredowymi? Są one unikalne w Europie, przy odpowiedniej reklamie mogłyby ściągać do Chełma rzesze turystów z całego świata. Nie lekceważmy tej szansy miasta!

EM

WINO-TU

Maciej Podgórski

LATEM 44 roku z przedwojennych zakładów spirytusowych Daumana w Chełmie został właściwie tylko budynek, ogołocony z urządzeń. Była wojna. Niemcy wycofywali się z miasta, w zakładach spirytus płynął rynsztokiem, ponieważ zbiorniki podziurawiono. W latach powojennych mieściły się tutaj magazyny spirytusu, dopiero w roku 1957 ruszył zakład przemysłu owocowo-warzywnego, a właściwie zakład produkcji wina, czyli „winiarnia" — jak do dziś jeszcze mówią chełmiacy. Produkowano głównie wino marki... „Wino", w pewnych sferach zwane „patykiem", oraz „Gryf" i „Tur", wzmocniony „czar" młodzieńczych lat panów, którzy teraz dobiegają czterdziestki. W sumie było tego 3 miliony litrów rocznie.

Dzisiaj samych tylko win w kilkunastu gatunkach wytwarza się w Chełmie 7,5 miliona litrów rocznie, głównie zresztą win markowych, czyli posiadających nazwy, a nie jedynie etykietkę „Wino". Za „Polonusa" („owocowe czerwone bardzo słodkie") otrzymał zakład znak jakości. Ale nie „wyskokowe" radości podniebienne są obecnie głównym asortymentem fabryki, która w ciągu lat uległa znacznej rozbudowie. „Uruchamiano" kolejno: koncentrat i sok pomidorowy, soki pitne, nektary, syropy i mrożonki owocowe, ostatnio zaś koncentrat barszczu z buraków ćwikłowych.

W sezonie sznur ciągników z przyczepami, ciężarówek codziennie czeka pod bramą. Tysiące ton jabłek, porzeczek, truskawek i pomidorów wędruje do przerobu. Więc już nie tylko „winiarnia", ale i „owocarnia". Pokazano mi montowaną jugosłowiańską linię pomidorową AC-500, o zdolności przetwórczej 500 ton pomidorów na dobę, zakończoną amerykańskim „karabinem maszynowym" do napełniania i zamykania puszek (550 sztuk na minutę!). Zanosi się na to, że chełmska fabryka zostanie potentatem krajowym w produkcji przecieru pomidorowego. Tutaj sezon ogórkowy i pomidorowy to nie czas leniwej kanikuły, urlopowego wywczasu, lecz okres mrówczej roboty, zarówno na punktach skupu, jak i w samym zakładzie.

Fabrykę rozbudowywano, ale nie zawsze z myślą o odleglejszej perspektywie, skutkiem czego na przykład chłodnia posiada zdolność zamrożenia 2000 ton, zaś komora składowania tylko 1000 ton, resztę trzeba wozić do chłodni składowych w Lublinie, Zamościu, Olsztynie czy Legnicy. Sprawę rozwiąże dopiero budowana komora na 2000 ton, i szkoda, że nie pomyślano o tym od razu. Dlatego cieszyć musi fakt, że choć nie ma jeszcze decyzji co do budowy nowych rozlewni, fabryka, licząc, iż takowe decyzje nastąpią w przyszłości, już teraz pomyślała o zabezpieczeniu placu i projekcie wstępnym budynku. Ten typ myślenia wydaje mi się bardzo rozsądny i jakby na miarę wojewódzkich perspektyw Chełma.

Perspektywy zaś wojewódzkie samego zakładu też muszą zostać przemyślane, ponieważ wraz z przedsiębiorstwem w Milejowie i Zaglobie (woj. lubelskie) oraz w Nieledwi (woj. zamojskie) wchodzi on w skład Lubelskich Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego z dyrekcją w Milejowie. Byłaby to m.in. kwestia przydziałów inwestycyjnych i planowania, domagająca się spokojnego i sensownego rozstrzygnięcia w sytuacji nowego podziału administracyjnego. I takie bowiem problemy rodzi gigantyczna i nowoczesna reforma administracyjna, której dokonujemy. Cztery zakłady, trzy województwa i jedno przedsiębiorstwo!

W chełmskiej fabryce inwestuje się sporo i sporo też tam widziałem nowoczesnych urządzeń, wykonanych z blach kwasoodpornych, niezastąpionych, jeśliby szło o przemysł spożywczy w ogóle (takie blachy stosuje się również w przetwórstwie mięsnym). Nie wszędzie w zakładzie jest jednak tak różowo. Są maszyny przestarzałe, jak choćby blisko 20-letnie korkownice, często psujące się. Obok nich stoi nowoczesna i raczej niezawodna kapslownica, używana do kapslowania butelek z winem. Lecz faktem jest, że droższe wino lepszej jakości zamknięte plastykowym kapslem to nieelegancka i nieestetyczna historia.

Powiada wicedyrektor, Zdzisław Lejman, główny inżynier zakładu: „Kiedy w 1965 roku, zaraz po studiach, zacząłem tutaj pracować, już w polskim przemyśle rolno-spożywczym stała sprawa korkownic, i dotychczas polski automat tego rodzaju nie wszedł do produkcji. Nasz przemysł maszynowy posiada opóźnienia, jeśliby szło o urządzenia dla zakładów przetwórstwa owocowo-warzywnego. Sprowadzać trzeba ze strefy dewizowej. Pracujemy na transporterach drewnianych, a potrzeba plastykowych, lżejszych, trwalszych i wygodniejszych. Czasem limituje nas niejednolity asortyment butelek, w związku z czym trudno zautomatyzować ich wybieranie i przestawianie. Blacha na puszki za gruba, a i samych puszek ilość niedostateczna..."

Trudno ukryć, że ujednolicenie i unowocześnienie parku maszynowego w zakładzie to realny problem na najbliższe lata. Ale pokazuje się, że i w ciężkich warunkach można sobie radzić, wtedy bowiem wyzwala się ludzka pomysłowość. Rozmawiam z Henrykiem Kotem, jednym z autorów podajnika służącego do rozładunku puszek z palet, wynalazku, który w roku ubiegłym zdobył II miejsce w wojewódzkim konkursie NOT. „Jest to bardzo proste urządzenie, może dlatego skuteczne — powiada Henryk Kot. — Dyrektor naczelny, Kazimierz Jakubowski, postawił zadanie, żeby w pełni wykorzystywać dozowarki i zamykarki do puszek z koncentratem pomidorowym. Przy istniejącym podajniku jednotaśmowym było to niemożliwe, a i tak to stanowisko pracy wymagało wielkich wysiłków od zatrudnionych tu kobiet. Więc zaczęliśmy kombinować i sposobem warsztatowym skonstruowaliśmy podajnik dziewięciotaśmowy o zróżnicowanej szybkości taśm. Już jeden taki zrobiliśmy również dla zakładów w Rzeszowie..."

Trzeba dodać, że w zakładowym konkursie „Racjonalizatorzy — kobietom" wynalazek ten został uznany przez pracownice za najlepszy w ubiegłym roku. Natomiast wydajność zamykarek i dozowarek wzrosła z 10 tys. sztuk na godzinę do 18 tys. Teraz tylko należałoby sobie winszować, żeby została opracowana dokumentacja techniczna wynalazku, ponieważ to pierwszy krok do upowszechnienia.

Nie jedyny to w zakładzie przypadek, że od spraw produkcji dochodzi się do osiągnięć na ogólniejszą skalę całego przemysłu owocowo - warzywnego. Główny technolog fabryki, Władysław Krawczyk, obronił w czerwcu br. pracę doktorską pt. „Histamina w winach owocowych", pisaną u prof. Stanisława Bujaka w Instytucie Technologii Akademii Rolniczej w Lublinie. Jest to chyba unikalny przypadek w całym resorcie, że człowiek od lat zatrudniony w produkcji (inż. Krawczyk pracuje w zakładzie od 1957 roku i był świadkiem pierwszego odlewu wina) wychodzi z doktoratem opartym na zagadnieniach praktyki przemysłowej, a więc bardzo dogodnym dla bezpośredniego wdrażania. Praca naukowa zresztą pionierska w naszym kraju.

Nawiasem mówiąc, histamina jest tym składnikiem win, który w połączeniu z działaniem alkoholu — patrząc na to z potocznego punktu widzenia — wzmaga... kaca, powodując bóle głowy, rozstrój żołądka, a nawet czasem uczulenie, które to objawy do tej pory przypisywano wyłącznie działaniu alkoholu, w wypadku zaś win krajowych także działaniu dwutlenku siarki znajdującego się w winie owocowym (konieczność konserwowania owoców). Inż. Krawczyk opracował metodę wykrywania histaminy i zapobiegania przedostawaniu się tego składnika do wina w nadmiernych ilościach. Ponadto warto wiedzieć, iż obecność histaminy w winach ma bezpośredni związek z marskością wątroby, dolegliwością nadgorliwych smakoszy tego trunku.

Od inż. Krawczyka chciałem się jeszcze dowiedzieć czegoś na temat nie zawsze wysokiej jakości polskich win owocowych. „W głównej mierze to sprawa surowca — powiedział. — Może niezbyt przestrzega się, żeby owoce były dojrzałe i zbierane prosto z drzewa, a nie jako spady..."

Okazuje się, że nasze wina owocowe, choć skłonni jesteśmy na nie ponarzekać, wcale nie są produkowane jakąś prymitywną chałupniczą metodą. Zresztą francuskie wina, jakie codziennie pija statystyczny pan Dupont, też nie odznaczają się najwyższą światową jakością. Może to faktycznie kwestia surowca i przemysłowej skali przedsięwzięcia. W małym zakładziku bowiem można się pobawić z selekcją i doborem owocu, lecz trudne to bardzo w wielkiej fabryce.

Po zakładzie oprowadza mnie szef produkcji, młody inżynier, Ryszard Wodzik. I trochę mi się w głowie kręci nie tylko od zapachu, lecz również od oglądania tych wszystkich pras i zbiorników, gdzie zwyczajna sympatyczna truskawka przemienia się w moszcz, czyli sok, będący półfabrykatem wina i soku pitnego. Czego się z tym moszczem nie wyczynia, żeby otrzymać wino... Wpierw stoi w kadziach zaciernych, gdzie mieszany jest z cukrem, drożdżami i wodą. Potem stoi w ogromnych bekach, gdzie fermentuje (w Chełmie zastosowano unikalny zespół beczek do ciągłej fermentacji wina — patent inż. Krawczyka i współpracowników). Następnie leżakuje przez kilka miesięcy (miody pitne leżakują nawet do roku czasu). Wreszcie odbywa się tzw. kupażowanie, czyli komponowanie określonego gatunku wina z kilku rodzajów winnych soków owocowych. Właśnie owo komponowanie-kupażowanie wina to tajemnica zakładu. Na koniec — filtrowanie i pasteryzacja, aż wreszcie ostateczny rytuał w rozlewni (żeby tylko te korkownice...)

Wartość produkcji chełmskiego zakładu osiąga kwotę pół miliarda złotych rocznie. Obok wina „Polonus" znak jakości posiada też napój jabłkowo-miętowy „Frument", a jedyną przeszkodą dla uzyskania znaku jakości przez koncentrat pomidorowy jest... oblażenie lakieru w środku puszek. Fabryka posiada pierwszorzędną opinię u władz województwa. Ma uprawnienia eksportowe na mrożonki. Od lat wykonuje zadania planowe, a bieżącą pięciolatkę wykonała już w lutym br. Pewno, że w porównaniu z cementownią czy fabryką obuwia, nie jest zakładem dużym, aczkolwiek w przemyśle owocowo-warzywnym jednym z większych.

Przed województwem chełmskim mogą się otworzyć realne kwestie węglowe w ciągu najbliższych dziesięciu lat. W połączeniu z cementownią byłyby to poważne perspektywy przemysłowe. Jednak i dziś i jutro województwo to będzie oparte na rolnictwie. A ponieważ wieś chełmska się starzeje, jest perspektywa na wielkoprodukcyjne PGR-y i spółdzielnie rolnicze, nowoczesne zmechanizowane zakłady produkcji rolniczej.

Obok potężnej proszkowni mleka w Krasnymstawie, cukrowni w Rejowcu i budowanej cukrowni w Krasnymstawie, która ma ruszyć z pierwszą toną cukru już w październiku przyszłego roku, obok wreszcie wielkiej chłodni składowej, której budowa rozpocznie się w przyszłym roku (jako jedna inwestycja z zakładem garmażeryjnym) koło Krasnegostawu — popularna chełmska „winiarnia" wydaje się zakładem, który w tym województwie zasługuje na szczególną uwagę. To też jest przemysł, a w dodatku oparty na miejscowym surowcu, wytwarzający produkty codziennego spożycia. Ponadto przemysł tak samo miastotwórczy jak każdy inny.

Na razie Chełm ma tylko jedną kawiarnię z prawdziwego zdarzenia. A może warto w niej propagować i wina... chełmskie?

Fot. Z. Zugaj

Czesław Twardzik

JEST

Hej, borem, lasem szło. Hej, drogą dróżką
(dzisiaj tak łatwo gwizdać to przy dźwigu)
kiedy armaty z tamtej strony nocy,
klęcząc nad Oką mruczały zaklęcia.
Ciszej, prorocy. Uwaga na fraki.
Rzucamy kości w czerwony Rubikon.
W tej samej chwili pies Raschendorfera
wdarł się na księżyc brunatnym skowytem.
A tej ostatniej nocy już nikomu
nie dały zasnąć rozklaskane lasy,
gdy kukuruźnik turkocząc po gwiazdach
w ostatnim zrzucie wóz świtu holował.
Przyszło od Bugu. Szeregowy Lipiec,
człapiąc przez bagno z pepeszą przy piersi
nie wiedział jeszcze, że na drugim brzegu
tak trudno będzie raport Milcjadesa
zamienić w okrzyk (bo, psia mać, te łzy...)
Skończył go zecer w chełmskim Manifeście
czcionką, co chlebem pachniała najchlebniej.
Przyszło, zostało, rozkwitło.
Jest.

OSTATNIE STRZAŁY W BITWIE O LUBLIN

Dokończenie ze str. 1

nocześnie oba plutony babińskie prowadzone przez „Rolę" (Paweł Bartoszcze) i „Zawiszę" uderzyły na tyły Niemców. Część Niemców, m.in. major dowodzący grupą, poniosła śmierć, pozostali wpadli do niewoli. Wieczorem plutony rozeszły się do domów, ale z poleceniem ponownego zebrania się rano 25 lipca na wschodnim krańcu Babina. Ppor. „Heliodor" z sierżantem Bartoszcze i dwoma innymi partyzantami pojechał do Radawczyka celem rozpoznania wschodniego przedpola i ustalenia współdziałania z tamtejszym plutonem. Spóźniona pora skłoniła „Heliodora" do pozostania w Radawczyku na resztę nocy.

Około godz. 5.30 ppor. „Heliodor" z sierżantem Stanisławem Bartoszcze, Stanisławem Ostrowskim i Janem Wojtaszką wyciągniętym krokiem puścili się do Babina ścieżką wzdłuż płynącego tutaj bezimiennego strumyka. Kilometr przed Strzeszkowicami ścieżka ta przekraczała strumyk i przez las Zieleńszczyzna skręcała ku Babinowi. Tak też szli partyzanci podzieleni na dwie pary odległe od siebie około 100 metrów. Pierwszą dwójkę tworzyli „Heliodor" i Bartoszcze uzbrojeni w pistolety i granaty ręczne.

Zaledwie czołowa dwójka znalazła się w lesie, natknęła się na odpoczywających tam Niemców. Partyzanci znaleźli się od nich na dystans kilku metrów, lecz pierwsi ochłonęli z obustronnego zaskoczenia. Dobyli broni i zasypali Niemców strzałami, zanim ci zdążyli zareagować. Wywołało to natychmiastowy skutek: dwóch Niemców legło trupem, a pozostali pierzchli przez las i strumień, kryjąc się w zbożach. Tylko kilku z nich chytrze przyczaiło się w strumyku, płynącym tu w korycie metrowej głębokości. Oni właśnie przyjęli ogniem ścigających ich partyzantów i to tak skutecznie, że „Heliodor" padł zaraz ze strzaskaną ręką. Pomścił go sierżant Bartoszcze, który przytomnie cisnął granat i zlikwidował opór zabijając trzech Niemców. I on jednak padł zaraz, trafiony śmiertelną kulą. Niemcy nie pozostali jednak na placu, lecz natychmiast uciekli i przepadli w polach. Dwaj pozostali partyzanci zabrali „Heliodora" i zajęli się jego raną, a nieco później, zmobilizowaną podwodą, odwieźli do szpitala w Bełżycach.

Zaalarmowane walką w lesie Zieleńszczyzna plutony babińskie zebrały się i przeszły na cmentarz, skąd miały lepszy wgląd w płaski teren, wznoszący się lekko jedynie między Babinem a lasem Bziniec, położonym przeszło dwa kilometry na północ od majątku Babin. Na przedpole wysłano drobne patrole z zadaniem alarmowania w razie zbliżania się nieprzyjaciela. Zaraz też wybuchła druga strzelanina, tym razem na kierunku południowym. Był to atak placówki z Borzechowa na niemiecki oddział koło Czółny. Okazał się bardzo fortunny — przy własnych stratach wynoszących kilku zabitych i rannych, borzechowiacy położyli 32 Niemców a 30 wzięli do niewoli. W boju wziął udział patrol z Babina złożony z kilku ludzi pod dowództwem Pawła Bednarczyka. Jego odejście obniżyło jednak stan babińskiej placówki do ok. 30 uzbrojonych ludzi, dowodzonych przez „Gwoździa" (Paweł Wojtaszko). Uzbrojenie jego oddziału stanowiły zwykłe karabiny, 2—3 „steny" i jeden „empi".

Pozostałe patrole na razie nie zaobserwowały niczego. Dopiero około godz. 10 odezwały się gęste strzały na kierunku północnym, w Wojcieszynie. Wkrótce też ukazały się tam kłęby dymu — widoma oznaka pożaru. Były to efekty ataku przypuszczonego przez tamtejszy pluton na grupę niemiecką, która spod Motycza skręciła w kierunku południowym, aby odskoczyć od groźnej trasy Lublin — Puławy. Dowodzący grupą niemiecki oberst nie forsował przeszkody w Wojcieszynie, lecz skierował się na pola majątku Babin, gdzie Niemców dostrzegli babiniacy. Jak się wydaje, niemiecki dowódca zamierzał wyminąć od południa nie tylko Wojcieszyn, ale także Bełżyce.

Dla babińskich plutonów było oczywiste, że Niemcy zostali przepędzeni z Wojcieszyna i ratują się ucieczką. Sytuacja taka zachęcała do ataku tym bardziej, że można było liczyć na placówkę z Borzechowa, która zakończyła walkę koło Czółny. Z Bełżyc także nadszedł pomyślny meldunek: tamtejsza placówka zamknęła dostęp do osady. „Gwóźdź" zdecydował się więc zaatakować rozbitego — jak się wydawało — nieprzyjaciela. Na jego polecenie „Jawor" (Jan Iwaniek) wziął jedną drużynę i poszedł z nią polami w kierunku lasu Bziniec, aby obejść niemieckie skrzydło. Główną grupę liczącą ok. 20 ludzi poprowadził „Gwóźdź", kierując ją naprzeciw Niemcom nadchodzącym polami.

Nieprzyjaciel osiągnął właśnie najwyższy punkt płaskiego wzniesienia, skąd bez trudności zaobserwował rozwijającą się do ataku grupę „Gwoździa". Zaraz też Niemcy zapadli w łan żyta, pozostawiając przed sobą dogodne do ostrzału pole kartofli. Oddzieleni od cmentarza dystansem około jednego kilometra mieli czas okopać się i przygotować obronę, której trzon stanowiły dwa lkm. Odezwały się one szybko, widocznie dla odebrania partyzantom chęci do zaczepki. Ostrzał ten rzeczywiście przyhamował ruch grupy „Gwoździa",

Fot. Archiwum

Dokończenie ze str. 1

zostało zamknięte okładkami książek, że sam temat żyje jeszcze bezpośrednim stykiem z ludzką egzystencją.

Tak, tylko druga wojna światowa narobiła bigosu w gramatyce spraw wojskowych. Bo usłyszy się nie tylko „byłem pod Lenino", ale również „byłam pod Lenino". To właśnie może powiedzieć Anna Rychalska, jedna z paru mieszkanek Lublina, które uczestniczyły w pierwszym boju wojska polskiego na froncie wschodnim.

A było tak. W maju 1943 roku rozeszła się wieść, że w Związku Radzieckim formuje się wojsko polskie. Anna Rychalska, która losami wojny rzucona tam przebywała, uznała ten fakt za swoją własną sprzyjającą okoliczność życiową. Dostać się do Ojczyzny było jej najusilniejszym pragnieniem.

Anna Rychalska

— Dzisiaj, kiedy Polskę mamy i nie wyobrażamy sobie jej nie mieć, nie potrafimy w pełni tego uczucia zrozumieć. Mickiewicz wyraźnie mówi, że zdrowie posiadania ojczyzny oceniamy dopiero wtedy, kiedy je tracimy. Sama możliwość powrotu na rodzinną ziemię, którą hitlerowski terror i goebbelsowska propaganda zdawały się całkowicie wykreślić z zakresu spraw osiągalnych dla uchodźcy, stała się czymś w rodzaju olśnienia. Być z tą siłą, która umożliwia powrót — tak chyba można określić uczucie wszystkich Polaków wypchniętych poza granice ojczyzny przez niemiecką ofensywę. Udałam się do obozu w Sielcach.

POZNALI SIĘ W SIELCACH

Tam właśnie uformował się Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater zorganizowany całkowicie na wzór męskiej jednostki bojowej, bo liczący kompanię strzelecką, fizylierów, ciężkich karabinów maszynowych, moździerzy, zwiadowców i sanitarną. Początkowo dowodzili oficerowie radzieccy, ponieważ w takich warunkach, „na przekór bogom i diabłom lepione wojsko" (Jerzy Putrament) nie wyłoniło jeszcze kadry dowódczej, ale z czasem i to się stało. A zaczęło się od komendy „Kto był w harcerstwie, wystąp!" W taki to sposób podnosiły się kwalifikacje bojowe tych szesnasto- i siedemnastoletnich dziewcząt, którym nieoczekiwanie przyszło wykonywać męskie rzemiosło. Później szkoła podoficerska. Anna Rychalska ukończyła ją z pierwszą lokatą jako starszy sierżant. Na zakończenie kursu urządzono wieczorek, na który został zaproszony sam generał Świerczewski. Przysięga odbyła się 15 lipca. Po niej już pełnowartościowa służba wojskowa. Kiedyś tak się złożyło, że w nocy generał przechodził przez obóz. Nie znał hasła. Stojąca na warcie fizylierka zatrzymała go i kazała mu czekać aż do nadejścia rozprowadzającej. Generał czekał. Fizylierka dostała czekoladę.

— Ale kiedy przyjechałyśmy ze Smoleńska do Wiaźmy, zrozumiałyśmy, że skończyła się sielecka sielanka. Że jest wojna. Dwunastego października o godzinie piątej rano pod Lenino zaczęło się przygotowanie artyleryjskie. Nasz kapelan, ksiądz Kupisz, pobłogosławił i wszystko ruszyło do ataku. To był wielki zryw patriotyczny. Żołnierze radzieccy nie szczędzili nam słów uznania, a trzeba dodać, że przeprawa była specjalnie trudna, bo Niemcy dowiedziawszy się o obecności w natarciu polskiej dywizji, ściągnęli na ten odcinek czołgi, działa i dodatkowe siły piechoty.

Anna Rychalska dowodziła plutonem, później kompanią, brała udział w forsowaniu Bugu, zdobywaniu Chełma i Lublina, pełniła funkcje komendanta wojskowego na Woli w Warszawie. Jeszcze do dziś pamięta adres swojego posterunku: Płocka 16. W Warszawie przeżyła śmierć swojej przyjaciółki, poznanianki Stanisławy Nadstawek, trafionej rakietą V-1 podczas pełnienia służby wartowniczej przy budynku Monopolu Spirytusowego. Przebyła szlak bojowy do Berlina.

Okoliczności sprawiły, że na tym szlaku — jeszcze w obozie sieleckim — poznała swego przyszłego męża. Major Wiktor Rychalski, który wtedy był oficerem radzieckim przydzielonym do polskiego oddziału, żartuje, że podczas jednej ze zbiórek batalionu kobiecego pilnie wypatrywał sobie przyszłej towarzyszki życia i takiego wyboru właśnie dokonał. Sam pochodzi z Żytomierza, gdzie mieszkali jego rodzice. Mimo że jest Polakiem, ojczyznę ujrzał dopiero w trakcie przebytej kampanii. Z napaścią Niemiec na Związek Radziecki, kiedy miał 21 lat, będąc już w wojsku, został ewakuowany do Taszkientu, stamtąd przez pustynię Kara-kum i Morze Kaspijskie do Baku. Później do Moskwy i pod Smoleńsk. 14 lipca 1941 roku w Jelnej dostał się w niemieckie okrążenie i został ranny. Ewakuowano go do Tuły, później znów do Moskwy. Był uczestnikiem defilady w rocznicę Rewolucji Październikowej, kiedy Niemcy znajdowali się 25 kilometrów od stolicy ZSRR. Znów brał udział w bitwie pod Smoleńskiem. Ze 105 pułku, do którego należał, zostało tylko paru kolegów w szpitalu, reszta zginęła.

Kiedy z rozkazu naczelnego dowództwa oficerowie radzieccy narodowości polskiej mieli zostać oddelegowani do powstającej dywizji kościuszkowskiej, znalazł się w obozie nad Oką. Tam właśnie poznał swą przyszłą żonę. Po skończeniu kampanii wzięli ślub w Krakowie, w roku 1946. Obecnie major Rychalski jest rencistą.

Natomiast Anna Rychalska pracuje w Handlowej Spółdzielni Inwalidów w Lublinie i jest tam przewodniczącą rady zakładowej. Jest również radną MRN i członkiem Zarządu Okręgu ZBoWiD. Odbywa szereg spotkań z wyborcami, z młodzieżą. Wśród wielu orderów, dyplomów, pism gratulacyjnych i podziękowań posiada pewien list, który otacza szczególną pieczołowitością: „Gorące pozdrowienia z okazji Dnia Zwycięstwa dla Pani kpt. Anny Rychalskiej przesyłają zuchy, harcerki i harcerze ze szczepu im. J. Czechowicza przy Szkole Podstawowej nr 19".

Na 30-lecie PRL odbył się zjazd „platerówek", to znaczy byłych członkiń Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. W warunkach polowych 450 osób znalazło się pod namiotami.

— Tak, ale te namioty można nazwać komfortowymi, bo nawet z bieżącą ciepłą wodą. Ile było wspomnień, ile radości: I zadziwiająco wiele wszystkie pamiętałyśmy. Był nawet ksiądz Kupisz. Na zakończenie zjazdu powiedział: „A teraz ja was, wszystkie dziewczynki, zapraszam do Wrocławia".

Tak, nie wszystkie kontury przeżyć czas potrafi zatrzeć. Niektóre weszły w życie i pamięć z taką wyrazistością, że po prostu wyznaczają kształt życiorysu. Nie potrzeba wysiłku pamięci, by je ewokować. Istnieją w niej zawsze. I na zawsze.

Państwo Rychalscy kawałek historii mają u siebie w domu.

Zygmunt Mikulski

Kamena str. 4

który odbywał się teraz wolno, przy skrzętnym wykorzystywaniu zasłon terenowych. Co bardziej niecierpliwi partyzanci odpowiedzieli nieprzyjacielowi ogniem z karabinów. „Gwóźdź" zwlekał z rozkazem natarcia, czekając aż „Jawor" wyjdzie na skrzydło niemieckie i zaatakuje je od strony lasu.

Drużyna „Jawora" niepostrzeżenie przedostała się w pobliże lasu Bziniec, gdzie stało kilka samotnych zabudowań. Tutaj partyzanci nieoczekiwanie natknęli się na niemieckie ubezpieczenie. Przyjęci przez nie ogniem, sami odpowiedzieli strzałami i zerwali się do ataku. Obok dojrzałego „Oma" (Władysław Walczak), doświadczonego w kampanii wrześniowej, biegł tu młody „Babinicz" (Tadeusz Wojtaszko), nie pozostawali w tyle Majkowski, Poleszak, ani żaden inny z prowadzonej przez „Jawora" drużyny. Ich zdecydowanie przeraziło wroga, który dał za wygraną i uciekł, kryjąc się w zbożach. Przed partyzantami otwarła się droga na skrzydło Niemców walczących z grupą „Gwoździa".

Kiedy odgłos strzałów pod lasem Bziniec oznajmił, że „Jawor" wyszedł na niemieckie skrzydło, partyzanci „Gwoździa" wznowili przerwany atak. Niemcy zaskokowani zagrożeniem na skrzydle, wyraźnie przycichli, więc pierwsze kroki ataku nie przyniosły żadnych strat. Wzmogło to rozpęd atakujących, na których czele gnało dwóch braci Pawlaków — młodych chłopców wysiedlonych z Poznańskiego — Leon i Jan, Władysław Bednarczyk i niewiele od nich starszy Józef Sieńko. Pewnie już liczyli, że pierwsi dopadną wroga i wezmą na nim odwet, zdobędą broń, wezmą jeńców.... Wtem niemiecka linia rozgorzała gęstym ogniem. Był on tak silny, że w jednej chwili zmiótł wysforowanych do przodu śmiałków, a pozostałych partyzantów przygniótł do ziemi. Na szczęście stało się to na wysokości polnej drogi biegnącej w płytkim zagłębieniu. Wykorzystał to zaraz „Gwóźdź" polecając partyzantom schronić się za tą osłoną. Ukryci w zagłębieniu drogi zaczęli skutecznie odpowiadać na kule wroga.

Niemcy, których na wzniesieniu przywarło około 70, byli zmuszeni częściowo przegrupować się dla zagięcia północnego skrzydła, zagrożonego przez drużynę „Jawora". Na obu odcinkach wywiązała się walka ogniowa, ale wskutek podziału sił jej natężenie znacznie osłabło. Bój mógłby się w tych warunkach ciągnąć długo, bo partyzantom brakło sił do podjęcia skutecznego ataku. Zaszło jednak coś, co odebrało Niemcom chęć do przedłużania oporu: na ich tyłach, pod Zosinem pojawił się świeży pluton ze wsi Podole, co znamionowało nadciąganie dalszych sił partyzanckich. Nie widząc innego wyjścia, niemiecki oberst polecił wywiesić białą chustkę. Ogień z obu stron został przerwany i 48 Niemców, w tym ponad 20 oficerów, pomaszerowało do niewoli, zaś 17 zabitych pozostało na placu boju.

Po południu zjawił się zwiad Armii Czerwonej, któremu przekazano jeńców. Z tym momentem okres okupacji można było uważać w Babinie za zakończony. Pozbierano swoich zabitych, przywieziono też zwłoki sierżan ta Bartoszcze. Następnego dnia złożono wszystkich w prostych, żołnierskich trumnach na miejscowym cmentarzu. W pogrzebie wzięli udział wszyscy mieszkańcy wsi, a nawet radziecki generał, który na cmentarzu wygłosił przemówienie. Zabrał też głos ojciec zabitych braci Pawlaków, który w krótkich słowach podziękował mieszkańcom Babina za to, że dali jego rodzinie schronienie i umożliwili jego synom walczyć za Ojczyznę. Zabrakło na pogrzebie jedynie „Heliodora", który w tym czasie leżał nieprzytomny w bełżyckim szpitalu z ręką odjętą po ramię.

Nad otwartymi mogiłami partyzantów ich koledzy oddali honorową salwę. Tym razem były to już ostatnie strzały w bitwie stoczonej o Lublin.

Leszek Siemion

Fot. KAW — J. Wielopolski

W czerwcu w salach lubelskiego BWA otwarto dużą wystawę grafiki Stanisława Dawskiego (na zdjęciu po lewej). Znany artysta organizował po wojnie PWSSP we Wrocławiu, był profesorem tej uczelni, a w latach 1952—1965 rektorem. Od 1970 roku jest profesorem w Katedrze Problematyki Malarstwa w Architekturze ASP w Warszawie. Miał wiele wystaw w kraju i za granicą, tylko w minionym roku eksponował grafikę w Brazylii, Argentynie, Norwegii, Hiszpanii i Jugosławii. W tymże roku otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki I stopnia. Prace St. Dawskiego znajdują się w licznych muzeach. W Lublinie artysta pokazał grafikę z cykli: „Przeciw Wojnie" i „Deski". **„Otwartość i poszukiwanie nowych form, nowych możliwości języka plastycznego — to cechy, które najpełniej charakteryzują twórczość Dawskiego, w równym jednak stopniu odnoszą się również i do jego malarstwa, jak i do postawy ludzkiej, osobistej, do jego dorobku jako organizatora życia artystycznego, a w pierwszym rzędzie — do jego dorobku jako pedagoga"** — zauważa we wstępie do katalogu wystawy Wojciech Skrodzki.

szach... mat...

Krzysztof Pytel

WE wtorek — 15 lipca — w Lublinie rozpoczyna się XI Festiwal Szachowy im. PKWN. W momencie gdy piszę, jeszcze nie jest znana pełna personalna obsada imprezy. Spodziewany jest ponowny przyjazd ekamistrza świata Michała Tala, oczekiwana jest aktualna mistrzyni świata kobiet Nona Gaprindaszwili (oboje ZSRR) — liczy się na ich udział, aczkolwiek nie jest to całkiem pewne, jako że lubelska impreza koliduje terminem ze Spartakiadą Narodów ZSRR...

Federacja Szachowa Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zapowiedziała przyjazd eksmistrza świata juniorów, Kaplana, Portorykańczyka z pochodzenia. Z Republiki Federalnej Niemiec awizowano przybycie arcymistrza Pflegera, zaś z odległej Kuny — silnego mistrza międzynarodowego Sylvino Garcia. Czołowych przedstawicieli, zapewne, delegują także inne kraje socjalistyczne.

Tegoroczny Festiwal ma szanse zgromadzić jeszcze świetniejszych graczy niż ci, których gościliśmy w Lublinie w latach minionych.

Chcę jednak pisać nie o zbliżającym się Festiwalu, lecz o tych dziesięciu minionych. Czuję się upoważniony do podjęcia tego tematu nie tylko jako dziesięciokrotny uczestnik zawodów lecz także jako wielokrotny ich współorganizator. Z drugiej strony uważam to nawet za obowiązek... Lubelskie Festiwale Szachowe im. PKWN są doskonale znane poza granicami naszego kraju, reportaże z ich przebiegu — corocznie — widnieją w dziesiątkach czasopism zagranicznych wydawanych na wszystkich kontynentach(!), najmniej zaś — w myśl przysłowia, od którego dziś odstępuję „cudze chwalicie, swego nie znacie" — pisze się o nich i ich rosnącej randze u nas w kraju.

Paul Janicki — reprezentant Kanady, Polak z pochodzenia — w jednej ze swych licznych relacji z X Festiwalu w Lublinie nazwał nasze miasto „Mekką szachistów Europy Centralnej" (patrz: British Chess Magazine" nr 11 z 1974).

Na pewno jest to stwierdzenie zbyt optymistyczne niemniej bardzo pochlebne dla organizatorów imprezy. Nim jednak bogini Caissa, która w swej opiece ma wielbicieli gry królewskiej, zawitała do naszego grodu, poczynano sobie znacznie skromniej.

Historia całej imprezy rozpoczęła się w roku 1965, kiedy to z inicjatywy grupki miejscowych szachistów (ze Zbigniewem Nestorowiczem na czele) odbył się w lipcu turniej szachowy w intencji uczczenia kolejnej rocznicy powstania PRL. Wówczas to w turnieju o wyłącznie krajowej obsadzie zwyciężyli wspólnie: R. Grąbczewski z Warszawy i K. Pytel z Chełma.

W rok później na liście uczestników widniało nazwisko pierwszego gościa z zagranicy: był nim Tibor Filep z bratniego Lublinowi Debreczyna na Węgrzech. Równolegle z tzw. „turniejem głównym" grupującym zawodników klasy mistrzowskiej odbył się także „turniej poboczny", w którym zawodnicy Lubelszczyzny zmagali się z kolegami z sąsiadujących województw.

Takie to były początki...

W dniach, gdy cały kraj świętował XXV lat PRL — w lipcu 1969 r. — w Lublinie odbył się V Festiwal. Po raz pierwszy uczestniczyli w nim szachiści z tytułami arcymistrzowskimi: A. Gipalis z ZSRR i L. Barczay z Węgier. Odbył się także międzynarodowy turniej kobiet i liczne(!) turnieje poboczne. Impreza wyraźnie chwyciła i zyskiwała na popularności. Tabele rezultatów i ciekawe partie turnieju coraz częściej pojawiają się na łamach prasy zagranicznej, znacznie częściej niż w prasie krajowej. Wychodzący w Rydze popularny dwutygodnik, jeden z najlepiej redagowanych na świecie „Szachmaty" opatrzył reportaże z Lublina licznymi zdjęciami i symbolami naszego grodu: „Koziołkiem" wraz z reprodukcją widoku Bramy Krakowskiej.

Z uznaniem też trzeba podkreślić, że impreza rosła i rozwijała się dzięki inicjatywie i środkom wydobywanym na miejscu w Lublinie. Pomoc Polskiego Związku Szachowego w tym okresie i kilku późniejszych latach ograniczała się co najwyżej do „moralnego wsparcia", a i to nie zawsze...

W tym miejscu należny ukłon i słowa wdzięczności dla miejscowych władz administracyjnych i partyjnych które doceniły i poparły starania lubelskich działaczy szachowych.

Z grona działaczy — tych zawsze dużą oddanych Festiwalowi — wymienić trzeba: Zbigniewa Nestorowicza, byłego wieloletniego prezesa Lubelskiego Związku Szachowego, Tadeusza Pieprzowskiego, Edmunda Łozińskiego i Mariana Maltszewskiego, którzy obowiązki arbitrów łączyli z czynną pracą organizacyjną, wreszcie red. Zygmunta Mikulskiego, czy wnoszącą spokój i rozwagę Bożenę Marklewicz, obecną przewodniczącą Sekcji Szachów Wojewódzkiej Federacji Sportu.

Będąc wspomnieniami przy „tamtych" latach nie mogę oprzeć się małej słabości i czytelnikom-szachistom nie zaprezentować jednej z efektowniejszych gier rozegranych w Lubelskich Festiwalach. Oto partia T. Filep — K. Pytel (obrona Grunfelda) grana w III Festiwalu Szachowym im. PKWN w Lublinie w 1967 r.

1.d4 Sf6 2.c4 g6 3.Sc3 d5 4.Sf3 Gg7 5.Gf4 00 6.Wc1 c5 7.dc5 dc4?! 8.Ha4 Sc6 9.e3 Sfd7 10.H:c4 Ha5 11.Sd4 S:d4 12.ed4 e5! 13.de5 S:e5 14.Hb5 Hc7 15.Ge2 Gd7! w zamian za oddanego pionka czarne uzyskały inicjatywę **16.Hb4 a5 17.Hb6?! Sd3+! 18.G:d3 H:f4 19.00** Ge6 obecnie grozi Ge5 i po g3-Hf3 **20.Gb5? Wa6!? 21.G:a6?** konieczne było 21.H:a6 ba6 22.G:e6 z niejasną grą **Ge5 22.Wfd1 H:h2+ 23.Kf1 Gc7! 24.Hb3 Wfe8!** zamykając sieć... **25.f3 G:f3! 26.Wd2** lub 26.gf3 Hh3+ 27.Kg1 Gh2+ 28.Kh1 Gg3+ 29.Kg1 Hh2+ 30.Kf1 HhIX **26...Hh1+** i wobec perspektywy **27.Kf2 H:g2 X** białe poddały się.

Lata 1969—74 to bardzo dynamiczny rozwój Festiwali. Rozwój tak pod względem liczby startujących w coraz różniejszych grupach turniejowych, jak — i co ważniejsze — autorytetu na arenie międzynarodowej. Wyraz temu daje wychodzący w Szwajcarii organ międzynarodowy „Schach-Expres" (nr 14 z 74 r.) zauważając że przez wiele lat najpoważniejszą imprezą polskich szachów był doroczny Memoriał Akiby Rubinsteina w Polanicy: był... ponieważ obecnie na czele jest Festiwal Lubelski.

Ubiegłoroczny turniej główny Festiwalu był 8 kategorii. Co to znaczy?

Otóż wszelkie turnieje międzynarodowe, w zależności od klasy jaką prezentują ich uczestnicy, są podzielone na piętnaście kategorii: najsłabszą jest kategoria pierwsza zaś najwyższą piętnasta (aczkolwiek teoretycznie, bo turnieju, który zostałby do niej zaliczony jeszcze nie zanotowano w kronikach).

W roku 1974 na kilkadziesiąt turniejów odbytych na świecie tylko dwadzieścia imprez miało kategorię ósmą lub wyższą (wg. materiałów opublikowanych w jugosłowiańskim wydawnictwie półrocznym „Sahovski Informator" tomy XVII i XVIII). To też o czymś świadczy!

Zresztą ubiegłorocznej imprezie korzystnego blasku dodały jeszcze dwie okoliczności: udział eksmistrza świata Michała Tala, który jest ozdobą każdego turnieju, w jakim uczestniczy oraz seria dwóch ładnych znaczków o tematyce szachowej zaserwowana przez Pocztę Polską z okazji Jubileuszowego X Festiwalu.

Jak wyglądają dalsze perspektywy rozwojowe? Otóż przy aktualnym stanie środków (dość skromny fundusz nagród i nie wypłacanie ich w dewizach dla gości zagranicznych) trudno liczyć na przybycie graczy, których obecność podniosłaby rangę imprezy do 18 kategorii.

Osobiście sądzę, że możliwość zarobienia dodatkowych środków, w tym i dewiz(!) istnieje. Dotychczas nie w pełni wykorzystano rezerwy kryjące się w wydawnictwach reklamowych (programy, biuletyny itp.). Za nikłą reklamę (przed Festiwalem!) posiadają poboczne turnieje, tzw. „open" — uczestnicy przyjeżdżają na własny koszt — będące w modzie w krajach zachodnich. Przy właściwej reklamie mogą one ściągnąć corocznie kilkudziesięciu gości dewizowych, głównie z RFN Holandii, Szwajcarii i krajów skandynawskich, a to z uwagi na dość niskie koszty utrzymania w Polsce. Tym samym do kieszy organizatorów wpływałyby poważne zapasy walorów dewizowych.

Te uwagi adresuję jednak do organizatorów przyszłych Festiwali.

Na zakończenie kilka liczb. W dziesięciu festiwalach uczestniczyło 396 graczy, w tym 87 z zagranicy. Dotychczas reprezentowane były następujące kraje: ZSRR — 12 zawodników, Węgry — 22, CSRS — 6, NRD — 12, Bułgaria — 10, Rumunia — 9, Jugosławia — 9, Holandia — 4, Kanada — 1, USA — 1, Grecja — 1.

Wśród uczestników sześciokrotnie figurowały nazwiska arcymistrzów, 39 — mistrzów międzynarodowych oraz 89 — mistrzów krajowych (w tym 43 z zagranicy).

Kamena str. 5

GŁOSY O MŁODEJ PROZIE

Niedawno opublikowany almanach „Na widnokręgu" jest prezentacją młodej prozy lubelskiej. Wejście książki na rynek redakcja „Kameny" potraktowała jako sposobność do wypowiedzi na temat problemów młodej literatury. W tym celu zwróciliśmy się do autorów. Chodziło nam o wysondowanie opinii dotyczącej miejsca literatury w społeczeństwie, a szczególnie młodej literatury w środowisku lubelskim, jej zadań, jej potrzeb, jej ewentualnych społecznych i organizacyjnych sprzymierzeńców. Chcieliśmy również poznać sposób „samookreślenia się" lubelskiej młodzieży piszącej wobec aktualnych problemów literatury w kraju, jak również zaznajomić się ze związanymi z tym zamierzeniami na przyszłość. Formą wspomnianego sondażu była rozmowa przeprowadzona w gronie zainteresowanych w lokalu naszej redakcji, a jako tej rozmowy pokłosie publikujemy opinie niektórych autorów w postaci głosów sumarycznie zawierających wypowiedziane uwagi i wnioski. Drukujemy te opinie bez redakcyjnego komentarza, sądząc, że i inni młodzi mogą się na łamach „Kameny" wypowiedzieć. Oczywiście nie oznacza to, że ze wszystkim, o czym niżej, zgadzamy się.

(Red.)

Sytuacja jest korzystniejsza

Stanisław Jan Królik

ZDEFINIOWANIE młodej literatury w aspekcie organizacyjnym jest w miarę proste: dorobek, który nie stwarza możliwości wstąpienia do ZLP i wiek autora z reguły do lat trzydziestu pięciu. Dla poety granica wieku bywa niższa, dla prozaika wyższa. Następnym wyróżnikiem będzie tutaj przynależność organizacyjna do grupy, albo klubu twórczego (nie kółka zainteresowań literackich). W obecnej chwili młoda literatura organizowana jest w koła młodych przy oddziałach ZLP (oczywiście tam, gdzie one istnieją). Pod tym kątem młody literat to tyle co początkujący (nawet z zabarwieniem pejoratywnym).

W odniesieniu do walorów artystycznych i światopoglądowych młoda literatura nie zawsze — według mnie — musi się pokrywać z określeniami organizacyjnymi. Jest to literatura dopełniająca dotychczasowy dorobek piśmiennictwa, myśląca. Wygrywający konkursy poeta czy prozaik, nie spełniający jeszcze wymogów statutowych ZLP, może być „stary", może powielać znane (czasami aż za dobrze) schematy i nic nowego nie wnosić. Młodym był i jest Witold Gombrowicz, jest Teodor Parnicki (ograniczmy się do tych dwóch nazwisk z wielkiej prozy polskiej ostatnich lat). Bardzo młodym (wciąż żywym) okazał się dla mnie osobiście w trzydzieści sześć lat po śmierci Józef Czechowicz.

Ponieważ jasne już jest, że młodą pod względem artystycznym nazywam literaturę ambitną, powrócę do młodości uznawanej powszechnie i (też w wielkim wyborze) przywołam nazwiska Zbigniewa Włodzimierza Fronczka i Piotra Graumana (nie publikowali jeszcze utworów prozatorskich). Natychmiast zastrzegam, że nie mam zamiaru zestawiać ich z poprzednio wymienionymi autorami. Wymieniam ich raczej jako dwa bieguny istniejących w środowisku lubelskim ambitnych (a zarazem młodych) poszukiwań. Telegraficznie: spontaniczność — rezerwa intelektualna. Nazwisk, które można cytować przy dzisiejszej okazji jest w lubelskim Kole Młodych wiele.

„Na widnokręgu" w starannym wyborze i opracowaniu Macieja Podgórskiego (rozumiem ograniczenia zewnętrzne) prezentuje — cały czas pozwalam sobie na luksus własnego gustu — opowiadania „grzeczne", formalnie i tematycznie. Są to w zasadzie wiernie przeniesione teksty z „Kameny", nawet jeżeli zostały gruntownie przepracowane. Brak mi en masse zadziorności, jest — bez wątpienia — rzetelność warsztatowa. Książka „do czytania". Nie uchybiając pozostałym autorom, najciekawsze były dla mnie opowiadania Ireneusza J. Kamińskiego (nawet w wersji ostatecznej; szkoda, że pisze tak mało prozy!) i Dominika Opolskiego. Pierwszy urzekł mnie śpiewnością, lekkością, a drugi ścisłym związkiem z całokształtem twórczości własnej, poetyckiej i graficznej. Nie wyczerpuje to, oczywiście, ani walorów, ani braków książki. Zwracam uwagę, że opowiadania zbierane były na przełomie lat 1972/73. Trzech współautorów znajduje się aktualnie poza województwem: Adam Fiala, Janusz Olczak i Kazimierz Rosiński. Obecnie sytuacja w młodej prozie lubelskiej przedstawia się korzystniej, może jest to wynikiem właśnie pokazania szans druku książkowego. Pozostawiam bez wniosków.

„Kamena", jak kobieta, jest kapryśna. Przygarnia a następnie pozostawia. Wydaje mi się, że to, co jest w kobiecie sympatyczne, jest w „Kamenie" cenne. Gdybyż jeszcze była wierna... i chciała być bardziej otwarta na sprawy literatury, wrażliwej na rzeczywistość, tej myślącej i pobudzającej do myślenia.

„Kamena" powstała może nieco na uboczu, ale w środowisku literackim żywym, jako pismo literackie. Od tego czasu upłynęło ponad czterdzieści lat, zmieniły się okoliczności. Warto jednak pamiętać i trwałą sympatią darzyć literaturę. I słowa nieodżałowanego Kazimierza Andrzeja Jaworskiego o pozostawaniu po lewej stronie barykady. Nic dodać, nic ująć. Dzisiaj warto dodatkowo zwracać baczną uwagę na lewicę czysto estetyczną. Pismo ukazuje się w środowisku lubelskim, powinno reprezentować je na zewnątrz. Nie wolno jednak ograniczać się do najciekawszego nawet zaścianka! Literatura jest jedna. Nie zaszkodzi również staranniejszy jeszcze dobór tekstów.

Kamena str. 6

Swego nie znacie

Stanisław Andrzej Łukowski

DZISIAJ nierzadko nawet czterdziestolatek uchodzi za pisarza młodego, ponieważ po długim oczekiwaniu wydał swą pierwszą książkę. Toteż, wydaje mi się, że pojęcie (naturalnie w obiegowym znaczeniu) pisarza młodego, czy młodej literatury, jest pojęciem względnym i nieprecyzyjnym. Ale przecież ukazuje się szereg książek ludzi zupełnie młodych, i często książki te mają nie byle jakie znaczenie artystyczne. Poza tym młodzi, a więc niecierpliwi i żądni olśnienia świata, chwytają się różnych sposobów, byle tylko dać znać o sobie. I dobrze się dzieje, że ukazują się różnego rodzaju suplementy, arkusze poetyckie, efemeryczne wydawnictwa etc., które w jakiś sposób rozładowują sytuację, ponieważ młodych piszących mamy coraz więcej, zaś chętnych do ich wydawania niewielu. Wydawcy bowiem ciągle zasłaniają się tzw. obiektywnymi trudnościami, brakiem funduszy, pilnością innych pozycji itp. Rzecz poniekąd zrozumiała, bo — jak twierdzą dobrze poinformowani — wydawnictwa są wręcz zarzucane mnogością płodów młodych autorów (i nie tylko młodych), w których często nawet pozycje wartościowe giną. Ale to chyba i dobrze, że tak dużo młodych chwyta za pióro, walczy w ostrej konkurencji, wygrywa poważne konkursy i zżyma się na politykę wydawniczą. Gorzej natomiast, jeśli natarczywy autor jednego opublikowanego wiersza uważa, iż czas najwyższy mieć osobny tom. Ale w końcu jest to nie do uniknięcia.

Mniemam, że w środowisku lubelskim dzieje się nie gorzej niż w innych środowiskach tego typu w kraju. Bowiem na przestrzeni ostatnich kilku lat ukazało się szereg tomików poetyckich. Młodzi wygrywali przeróżne konkursy, jeden z numerów „Nowego Wyrazu" poświęcony był w całości środowisku lubelskiemu. I trzeba szczerze powiedzieć, że środowisko to raczej niedostrzegane w samym Lublinie, jest wysoko notowane na giełdzie literackiej kraju. I w zasadzie dzięki tym różnym publikacjom, o których wspominałem wyżej, oraz ogólnopolskim konkursom nagminnie „obstawianym" i wygrywanym przez lublinian.

Średnia wieku autorów opowiadań zamieszczonych w „Na widnokręgu" wynosi trzydzieści dwa lata. Dla większości jest to debiut książkowy. (Więc jeszcze młodzi, czy już nie?). I chwała Wydawnictwu Lubelskiemu, że wydało ten tom, który w końcu jest przecież jakąś wizytówką a zarazem przeglądem możliwości prozatorskich autorów w nim publikujących. A dodać należy, że wydawcy niechętnie dzisiaj wydają tomy opowiadań, cóż dopiero mówić o almanachu niemal debiutantów. Zapewne dobrze by było, gdyby tych jedenastu autorów wydało swe indywidualne pozycje. Są to tylko pobożne życzenia, a czas zresztą i to pokaże. I wyznam po uważnej lekturze (wyznanie nieskromne, gdyż i moje nazwisko figuruje w almanachu), że pozycja ta jest wcale nie gorsza niż inne tego typu, które miałem okazję przeczytać (łącznie z „Almanachem młodych" ISKIER, który jest w końcu przeglądem dokonań młodych z całej Polski). A takie nazwiska, jak Horabik, Rosiński, czy Sęczawa z powodzeniem zmieściłyby się w antologiach obok nobilitowanych autorów i wcale nie odstawałyby od nich.

„Kamena" nie dostrzegła tego tomu, choć przecież ukazał się kilka miesięcy temu. Czyżby dlatego, że autorem wyboru jest kolega redakcyjny? Zresztą nie pierwszyzna to, bo innych publikacji podobnych „Kamena" też nie dostrzegała. Rzecz w końcu symptomatyczna. Bo i jakże to pisać o kimś, kogo się dobrze zna! A nuż się obrazi, albo też ustroi się w glorię geniusza! Pewnie, że nie jest to najwdzięczniejsza robota, jednak wydaje mi się, iż niezbędna. Wprawdzie „Kamena" nie jest pismem literackim (choć stopka mówi, że pismem Lubelskiego Oddziału ZLP), uważam, że częściej powinna informować o dokonaniach, czy sukcesach młodych a także „starych" literatów. Pociechą jest, że na swych łamach obok „Sennika egipskiego" sporo publikuje wierszy, które, jak mniemam, cieszą się wzięciem wśród samych poetów (zresztą jak to wiersze). Brakuje mi w niej jednak prozy, autentycznych opowiadań, o które teraz tak trudno, bo większość chwyta się za powieść, gdyż łatwiej ją opublikować. Zdania tego zapewne był autor (skryty pod zmyślnym pseudonimem) powieści (?), która z ogromnym powodzeniem idzie w „Kamenie".

Ale tak do końca to kto, kiedy i kogo zadowolił? Ważne, że jak dotąd, młodzi podobnymi sytuacjami się nie zrażają. Piszą, usiłują publikować, zżymają się na panujące stosunki. Nierzadko nachodzą i nękają. Ano, niechaj i redaktorzy wiedzą, że chleb, na który zarabiają wertując maszynopisy, nie jest znów taki lekki, jakby się niektórym autorom wydawało.

Częściej publikować

Henryk Makarski

CZASAMI odnoszę banalne wrażenie, że literatura piękna jest społeczeństwu niepotrzebna. Nie chcę wyważać otwartych drzwi spostrzeżeniem, że najbardziej chodliwym towarem na tegorocznym kiermaszu książki była... oranżada. Panem et circenses! Ale jakże dyskutować o przyszłości młodej literatury, skoro młody człowiek, którego jedynym (ale za to intratnym) zajęciem jest łaskawe kopanie piłki, otrzymuje natychmiast klucze do „M-ileś tam", a młody literat — autor kilku powieści napisanych kosztem kilkuset nieprzespanych nocy (w dzień przecie na chleb powszedni zarabiać trzeba jak przeciętnie uczciwy obywatel) — błąka się po suterenach, ciągle w pełnych nadziei rozjazdach między ziemią zielonogórską a Lublinem. (Olczak!). Być może, iż w ten malowniczy sposób stwarza mu się naturalne warunki do zbierania doświadczeń życiowych jako tworzywa literackiego. Chłopak ma pecha — nie przyjęto go do ZLP, ponieważ któryś z uświęconych krytyków raczył wyrazić się niezbyt ciepło o jednej z książek młodego pisarza. Ludzie, nie dajmy się zwario-

wać! Przecież to książka wyłoniona z konkursu, czyż fakt ten nie jest miarodajną i obiektywną oceną? I jak tu nie wierzyć w tzw. stołeczne awersje do tzw. prowincji, okazywane najczęściej przez tzw. „warszawiaków zza stodoły"? Skąd my to znamy, młodzi twórcy?

Młodzi jednak piszą, nie zważając na baśnie i waśnie tego świata. Zbiorowym świadectwem istnienia młodej prozy lubelskiej (na poezję zawsze był urodzaj) jest „Na widnokręgu" — książka na pewno nie gorsza od innych wydawnictw tego typu, spełniająca chyba nadzieje środowiska, oczekującego od kilkunastu lat na spełnienie indywidualnych zapowiedzi, ogłaszanych w „Kamenie" przez ludzi tzw. młodych. Średnia wieku prozaików, którzy nareszcie doczekali się opublikowania swoich utworów w postaci książkowej (zbiorowej na razie) wynosi 32 lata. Przed dziesięciu laty, kiedy debiutowałem wierszem w prasie jako 19-latek, 32-letni mężczyzna był dla mnie starszym panem. Wiek twórcy nie decyduje jednak o młodości literatury. Młoda literatura trzyma się ściśle realiów współczesności, uczciwie podglądając dzień dzisiejszy. Tworzyć ją może nawet 100-letni starzec, byle nie powracał co drugą stronę do wojny carsko-japońskiej; bagaż historycznych autopsji nie ułatwia wszakże żywota tzw. młodej literaturze. I to jest jej artystyczne imię. Natomiast próby organizacyjnego określenia młodej literatury z góry skazane są na porażkę; zakładając oczywiście, że wchodzi w grę uczciwość, a nie potrzeba fikcji. Nie czarujmy się — literaturę robi się indywidualnie, aczkolwiek pośrednio wyrasta ona ze społeczności. Koło Młodych czy ZLP ułatwia kontakty międzyludzkie, ale literatury nie rodzi. Nie zebrania dodają skrzydeł pisarstwu, ale częste publikacje, regularna konfrontacja słowa pisanego z opinią publiczną. I młodzi twórcy lubelscy próbują drukować gdzie się da, chociaż najczęściej — po kwarantannie heroicznych zrywów ponad gniazdo — wszystkie drogi prowadzą do „Kameny".

Na współpracę z „Kameną" narzekać nie można. Jest absolutną rekordzistką krajową w swojej kategorii pod względem liczby pomieszczonych wierszy, a i opowiadanie od czasu do czasu można wydrukować — za co rzesze debiutantów wdzięczność żywią, zwłaszcza ci, którzy w ambicjonalnych kontaktach z redakcjami centralnymi niejedno upokarzające doświadczenie przeżknęli. Nie podoba mi się natomiast „wszystkoizm" „Kameny": gazetowość, reporterskie wędrówki do zakładów za siedmioma górami, teoretyczne dysertacje przesycone obszernymi fragmentami roczników statystycznych, rozdmuchane horyzonty geograficzno-tematyczne, zza których nie widać lubelskiego podwórka, zwłaszcza ustronnego kącika zwanego kulturą. Cudze chwalicie, swego nie znacie. Honor publicystyki kulturalnej ratuje plastyka, przykładnie odnotowując rodzime sukcesy, co nie jest w końcu czymś dziwacznym, zważywszy, że w Lublinie na jednego zrzeszonego literata przypada dziesięciu zrzeszonych plastyków. Przy całym szacunku dla niewątpliwych zasług przeszłości i aktualnych wartości dwutygodnika społeczno-kulturalnego, sprawującego mecenat z prawdziwego zdarzenia nad młodymi twórcami (brawo!) — czasami nachodzą mnie nieskromne refleksje, że na dwóch stronach „Kultury i Życia" — nieodżałowanego dodatku do „Sztandaru Ludu" — było więcej kultury niż na szesnastu stronach obecnej „Kameny". A kysz, kudłate myśli. Gdybyż wszystkie dwutygodniki dały się czytać tak, jak „Kamena" — straciłbym wzrok i nadmiernie wzbogaciłbym Zakład Energetyczny. Czasami jednak dobrze jest trochę powybrzydzać, bo nigdy nie jest jeszcze tak doskonale, aby nie mogło być lepiej.

Młodość to nie kwestia wieku

Dominik Opolski

RÓŻNIE pojmuje się młodość; różnie też rozumie się to co ma odpowiadać hasłu „młoda literatura". To samo można powiedzieć o rozumieniu słowa „współczesność" — oczywiście tylko w odniesieniu do spraw duchowych nie zaś sytuacji, w jakiej ów „duch czasu" się ujawnia. Sytuacja zawsze jest rozumiana jednoznacznie jako aktualność (o mocno nadwerężonych granicach, takie rozwodnione TERAZ), która trwa nie wiadomo dokąd. Toteż zbyt wielu młodych ludzi próbujących pióra uważa się jednocześnie za młodych i współczesnych artystów, gdy tymczasem słowo „młodość" należy się im tak, jak przynależne jest młodej kapuście. W wielu przypadkach jest to tylko niedojrzałość.

Jak dotychczas, termin „młoda literatura" szczególnie w Lublinie rozumiany jest bardziej socjologicznie (organizacyjnie i pokoleniowo) niż artystycznie i ideowo (awangardowo). Dzisiejszy typ młodości — po doświadczeniach pokolenia w wieku produkcyjnym jest bardziej zorientowany na rozwagę i wyrachowanie niż na spontaniczność i porywczą bezkompromisowość. Wystarczy zapoznać się z wynikami ostatnich badań socjologicznych, które potwierdzają tezę, że młode pokolenie Polaków jest coraz bardziej upraktycznione, zatraca idee przypisywane dotychczas młodości w zamian za dążność do jak najszybszego zainstalowania się w społeczeństwie „dorosłych". Sytuacja ta pociąga za sobą inne zjawiska, jak zmienianie się hierarchii wartości estetycznych, z czego trudno nie zdawać sobie sprawy. Dzisiaj nikt nie chce być uczniem, nikogo nie stać na cierpliwość potrzebną do terminowania u mistrzów, nawet gdyby byli wybrani przez samego ucznia. Natomiast bunt, jako — dotychczas — jedna z typowych cech młodości w moim odczuciu jawi się raczej jako zwykły kaprys. W swych poczynaniach artystycznych nieczęsto młodzi literaci bywają współcześni. Wydaje się, że tylko w pełni dojrzałego człowieka stać na to, aby być młodym. Dla tego, co w znanym dotychczas młodym środowisku literackim Lublina określa się mianem „młoda literatura" proponowałbym (aby nie mnożyć nieporozumień) zalegalizować określenie „teksty literackie (stosunkowo, jeszcze) młodych ludzi". (Nie chcę przy tej okazji nadużywać słowa „autor", którym nie mógłbym nazwać wielu członków ZLP).

Rozmowa została spowodowana ukazaniem się almanachu prozy lubelskich „młodych"... Mówiło się już o tym, co spowodowało, że kilku uczestników tego almanachu wyjechało z Lublina. Przedstawiono przyczyny ich wyjazdu. Chciałbym publicznie zapytać, co trzyma pozostałych? Dlaczego nie wyjechali? Na pewno nie z powodu żarliwej miłości do miasteczka pt. L... Na pewno nie mieli sposobności wymknąć się z tego miasta, od tych koterii, kierujących się kolorem oczu przy wydawaniu książek młodym ludziom.

Natomiast „Kamena" nie potrafiła, jak dotychczas (w powojennej karierze): mobilizować środowiska piszących do systematycznej, zwykłej roboty literackiej poprzez proponowanie konfrontacji, nie przyczyniała się do popularyzacji środowiskowych osiągnięć artystycznych (niekiedy popularyzowała osiągnięcia towarzyskie), nie była forum, gdzie mogłyby toczyć się dyskusje na tematy ważne dla sztuki i dla środowiska.

Rys. D. Opolski

ROZMOWA Z WICZO IWANOWEM

Czuję się patriotą polskim...

PRZY źródłach mineralnej wody spotykają się przynajmniej trzy razy dziennie wszyscy mieszkańcy Hisarii i goście sanatoryjni. Obudowane ujścia wody Momina Bania i Momina Slza stanowią coś w rodzaju miejscowego punktu kontaktów towarzyskich. Sącząc ciepłą wodę dzielimy się uwagami na temat innych kuracjuszy, pokpiwamy z dobrze zbudowanych młodych mężczyzn, którzy zabierają całe beczułeczki wody do samochodów, szacujemy kobiety. W pewnym momencie podchodzi do nas starszy, zupełnie siwy pan i zagaduje po polsku (lekko kalecząc gramatykę):

— Państwo jest z Polski?

— Tak.

— Ja byłem w Warszawie kilka lat. Bardzo się cieszę was widząc.

Witamy się, podajemy swoje nazwiska. Ustalamy, gdzie kto mieszka i sympatyczny pan zaprasza nas do siebie na kawę.

— Mam dobrą brazylijską kawę. Tu nie ma nigdzie dobrej. Wszędzie podają neskę, a to jest trucizna. Stwierdzono to we Francji.

W godzinach popołudniowych odwiedzam Dom Pisarzy. W małym saloniku o pięciu wygodnych fotelach oczekuję na pana Wiczo Iwanowa, którego dyżurny recepcjonista poszukuje w pokojach na piętrze. Za chwilę p. Wiczo pojawia się z nieodłącznie dobrotliwym uśmiechem na twarzy. Przynosi paczkę aromatycznej kawy.

Kiedy mówię, że jestem z Lublina, p. Wiczo uśmiecha się jakby serdeczniej i z radością mówi:

— Ja Lublin dobrze znam, mam tam wielu przyjaciół, wiele razy byłem w Lublinie.

Zacznijmy więc od początku. Pan Wiczo Iwanow jest wybitnym pisarzem eseistą bułgarskim, który w latach 1958—1964 był dyrektorem Instytutu Kultury Bułgarskiej w Warszawie. Wówczas to nawiązał pierwsze kontakty z Lublinem. Wymienia nazwiska swoich przyjaciół i znajomych z owych lat pobytu w Polsce: Jan Drążek z TWP, Irena Iskrzycka z Muzeum na Zamku, Kazimierz Andrzej Jaworski.

— Tak, Jaworskiego znałem dobrze, wiele przegadaliśmy na tematy nas wspólnie interesujące. A jego syna, Marka Adama Jaworskiego, poznałem w Szczecinie. Atmosfera Lublina różni się od innych miast w Polsce. W pamięci ostro rysują mi się obrazy Starego Miasta, kamieniczek, na których tak wspaniale — jak nigdzie — uczczono pamięć wybitnych pisarzy i twórców polskich: Reja, Kochanowskiego, Kraszewskiego, Prusa, Wieniawskiego. Wydaje mi się, że nawet w lubelskich kawiarniach czuje się człowiek lepiej.

W czasie swych licznych odwiedzin p. Wiczo miewał spotkania z czytelnikami i miłośnikami Bułgarii w lubelskim Klubie MPiK, odwiedzał świetlice i punkty TWP w województwie. Kilkakrotnie był w muzeum na Majdanku. Obóz koncentracyjny z czasów hitlerowskich, w którym zginęło wielu Bułgarów z okolic Tyrnowa, Sofii i Płowdiw, wywarł na nim silne wrażenie. Na tysiąclecie Polski Wiczo Iwanow wydał w Bułgarii w wydawnictwie Związku Literatów Bułgarskich książkę pt. „Pod polskim niebem" (Sofia 1966). Znalazły się tam wspomnienia autora z pobytu w Polsce, jego wrażenia i kontakty z polskimi przyjaciółmi. Nie brakuje też związków z Lublinem. W rozdziale zatytułowanym „Wśród lubelskich pól" jest mowa o Majdanku. Autor kończy ten fragment symbolicznymi niemal zdaniami:

Nad nami przeleciało kilka niespokojnych gołębi, które poszybowały w stronę Lublina. Spoglądając teraz na jasny horyzont miasta, znika atmosfera starego, obozowego obrazu. Nad jesiennym polem powiał południowy wiatr przesycony aromatem polnych kwiatów i suchej ziemi.

Wiczo Iwanow jest właściwie malarzem z wykształcenia. Mówi obrazami, bardzo plastycznie. Pochodzi z Petrowdoł, z małej wioski leżącej na południe od Tołbuchina. Ojciec jego był kamieniarzem, ciosał pomniki nagrobne. Rodzina była biedna i liczna. Młodemu Wiczowi udało się zapisać na Akademię Sztuk Pięknych w Sofii, gdzie pod kierunkiem wybitnego profesora Mikołaja Rajnowa kształcił swój smak artystyczny i umiejętności plastyczne. Później przez pięć lat uprawiał tę profesję, dużo malował, ale wszystkie jego prace zaprzepaściły wojenne losy.

Pierwszą książkę napisał w 1925 r. — o Rabindranath Tegore, hinduskim poecie i filozofie. Tak się zdarzyło, że rok później Tagore przyjechał do Sofii w drodze z Rumunii. Z tej okazji wyszło drugie wydanie książki Iwanowa. Komitet zapraszający Tagore'a do Bułgarii zorganizował też spotkanie wybitnego humanisty z młodym wówczas Wiczo Iwanowem. Pod jego urokiem bułgarski pisarz pozostał do dziś. Kiedy pracował w Warszawie utrzymywał stałe kontakty z wykładowcami hindologii na Uniwersytecie Warszawskim. Na stulecie urodzin Tagore'a w 1961 r. w New Delhi ukazała się księga wspomnień o poecie - filozofie. Przedrukowano tam również esej Wiczo Iwanowa. Jego nazwisko sąsiaduje ze wspomnieniami Jana Parandowskiego.

— Jana Parandowskiego nie znałem osobiście — mówi Iwanow — nie było jakoś okazji. A znajduję się pod jego urokiem od chwili przeczytania „Alchemii słowa". Bardzo silne wrażenie wywarła na mnie „Noc wrześniowa". To wybitny erudyta. Nigdy też nie udało mi się poznać Marii Kuncewiczowej, ale jak przyjadę do Polski, zechcę prosić ją o spotkanie w Kazimierzu.

W czasie pobytu w Hisarii Wiczo Iwanow ukończył kolejną swoją książkę, gruby esej o poetach, pisarzach i dramaturgach. Wśród wielu wybitnych nazwisk znajdują się też polscy twórcy, jak m. in. Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Władysław Bro-

Dokończenie na str. 13

Wanda Handzlik

PRZY ŹRÓDLE

Tyle w tobie nadziei, a tak mało wiary.
Chociaż wszystko oddałam, nic już nie mam.
A kwiat nowotworu, który zakwitł w gardle
Różą herbacianą i pazurkiem ptaka
Dla siebie zostawiam na godziny czułości.

Nie złorzecz, nie przeklinaj, uwierz:
Zbliża się dzień bez uśmiechu, bez szeptu.

Henryk Radej

MÓWIMY: CIERPKIE

Pierwsze winobranie rozpalonych głów
rozpoczęło się po kwadransie oczekiwania
— łokcie były w zenicie
miejsce dla inwalidy zostało zajęte
jedno z pierwszych

twarzy ciężkie winogrona
zbliżają się na odległość gadatliwych ust
zaplatamy sobie warkoczyki
z naszych myśli oczu i języka
gorzkim staje się smak umarłej córki

mała dziewczynka z rozdziawioną buzią
nadgryza jabłko
wyczuwam że jest winne.

Tyle spraw wieziemy w swoich głowach
naładowanych do rozpuku
jak toboły
przewalające się na wybojach
nie zawsze asfaltowej drogi
i w każdej chwili cierpliwi jesteśmy
jeszcze jednej katastrofy.

Dariusz Lutomski

WSCHÓD CZŁOWIECZEŃSTWA

Jestem ptakiem
bo nie umiem latać
Jestem słoniem
bo nie umiem trąbić
Jestem psem
bo nie umiem szczekać

Jestem kaznodzieją
bo nie umiem przykazań
Jestem marynarzem
bo nie umiem kląć
Jestem nauczycielem
bo nie umiem uczyć

Jestem człowiekiem
bo nim nie jestem

W KRĘGU IZABELI

Ireneusz J. Kamiński

O ZACHOWANIE Kazimierza w polskiej pamięci troszczyły się po rozbiorach przede wszystkim Puławy, które do końca XVII wieku były rezydencją wybitnych indywidualności i mecenasów sztuki: początkowo Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, potem Elżbiety Sieniawskiej. W 1782 roku odziedziczył je po ojcu generał ziem podolskich, brat cioteczny Stanisława Augusta, ożeniony z Izabelą z Flemingów, książę Adam Czartoryski.

Po bitwie pod Maciejowicami pałac puławski został obrabowany i zniszczony przez Kozaków. Niemal równocześnie z odbudową rezydencji Izabela Czartoryska rozpoczęła wznoszenie „Świątyni Sybilli" i „Domu Gotyckiego". Zanotowała: *kiedy Polska istnieć przestała, przyszła mi pierwszy raz ta myśl, żeby zbierać pamiątki polskie, które potomności powierzam. Każdy zdaje się człowiek, straciwszy matkę, dzieci, czyli przyjaciela, każda zdaje się rzecz po nich droga, i choć te pamiątki smutek wzbudzają, przecież jakąś ulgę widok ich sprawuje. Te same uczucia wzbudzić powinny te szczątki, te pamiątki polskie, które nam jeszcze pozostają.*

W takich okolicznościach — politycznych i emocjonalnych — powstało pierwsze w Polsce muzeum narodowe, zwane początkowo „Świątynią Pamięci". Plany tego ważnego dla naszej kultury obiektu opracował Christian Piotr Aigner, architekt urodzony w 1756 roku w Puławach, w rodzinie rzemieślniczej pochodzenia niemieckiego, osiadłej tu przynajmniej od połowy XVIII stulecia. Całkowicie spolszczony, podobnie jak cała rodzina, wznosząc „Świątynię Sybilli" wzorował się na rzymskiej świątyni w Tivoli. Dla kultury artystycznej w Polsce była to wówczas sytuacja typowa: rozwijali ją Francuzi, Włosi, Niemcy, którzy niejednokrotnie tak mocno i autentycznie wrastali w tutejsze środowisko — poprzez stosunki rodzinne i samą twórczość — że rozważanie kwestii ich pochodzenia wydaje się mało uprawnione. Przyjeżdżali na rok, na pięć lat, a zostawali na całe życie, wnosząc sporo wartości do sztuki polskiej.

W rezydencji Czartoryskich w Puławach było podobnie. Przebywał tu i pracował ulubiony artysta książęcej pary Jan Piotr Norblin, inicjujący na naszym gruncie malarstwo rodzajowe. Jan Zachariasz Frey i Zygmunt Vogel uwiecznili magnacką siedzibę ze wszystkich możliwych stron i podejmowali wyprawy artystyczne do sąsiednich miejscowości. Stale współpracował z Aignerem Fryderyk Bauman, twórca świetnych sztukaterii w pałacu Marynki, „Świątyni Sybilli", „Domu Gotyckim", w kościele. Joachim i Jakub Hemplowie czuwali nad przebiegiem prac budowlanych, okresowo pojawiał się w Puławach Szymon Bogumił Zug, architekt warszawski. Antoni Hoffman, „kapitan b. Wojsk Polskich", który zastąpił zmarłego w 1810 roku Joachima Hempla, pochodził z rodziny artystycznej od dawna osiadłej nad Wisłą; przed nominacją pełnił funkcję kasjera. James Savage, ogrodnik angielski sprowadzony przez księżnę w 1791 roku dla przekształcenia regularnego ogrodu francuskiego w angielski park krajobrazowy, przebywał w Puławach 25 lat. Na murze cmentarza we Włostowicach, gdzie został pochowany, Izabela umieściła epitafium w języku polskim i angielskim:

Tu leży z synem swoim
Jakób Saważ ogrodnik
którego talent doskonały
równy był jego uczciwości
i jego wierności.

Utrzymanie wspaniałej rezydencji kosztowało wielkie sumy. Artysta, który wyprawiał się w „teren", aby rysować zabytki nie podróżował za własne pieniądze, można uznać za pewnik, że otrzymywał coś w rodzaju delegacji służbowej. Wystawne fety ogrodowe, czyli „żywe obrazy", pochłonęły niejedną złotówkę, niepomiernie więcej wydawano na ciągle nowe inwestycje. Czartoryscy byli jednak właścicielami ogromnej fortuny, ich włości obejmowały obszar od rezydencji nad środkową Wisłą do Szkłowa nad górnym Dnieprem i Granowa na Ukrainie. Znamienne: im bardziej okoliczności historyczne zawężały teren działalności politycznej księcia, tym pełniej koncentrował on swoją uwagę (czytaj: środki materialne) na Puławach, tym częściej występował w ro-

Świątynia Sybilli w Puławach

Kazimierz. Fragment elewacji kamienicy C

Fot.

JAK POZBYĆ SIĘ

PROFESOR Maria Grzegorzewska — prekursorka pedagogiki specjalnej w Polsce — od początku swej działalności z trudem przedzierała się przez powszechne niezrozumienie tej złożonej i ważkiej problematyki. Kierowany przez nią Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej w Warszawie przez długie lata był jedyną placówką naukową i dydaktyczną, kształcącą pedagogów, przede wszystkim dla szkolnictwa podstawowego. Oprócz praktyków wykształciła ona spore grono swoich następców, którzy z kolei utworzyli katedry, instytuty, a nawet wydziały na uniwersytetach i w wyższych szkołach pedagogicznych. Są to wciąż jeszcze placówki niewielkie, ale są. Również w Instytucie Pedagogiki i Psychologii UMCS działa Zakład Psychopedagogiki Specjalnej, którym kieruje doc. dr hab. Zofia Sękowska. Uzupełniają tam swoje wykształcenie w zakresie pedagogiki specjalnej nauczyciele - praktycy, których skierowano do pracy w zakładach wychowawczych, szkołach i klasach specjalnych. Także z Lubelszczyzny: w tym roku znalazło się dla nich zaledwie 15 miejsc. Za mało, o wiele za mało.

Według danych kuratoriów środkowo-wschodnich województw, wyższego wykształcenia specjalnego potrzebuje kilkuset pedagogów. Przy czym jedni mówią o 300, a inni liczbę tę podwajają, a nawet potrajają. Zależy, kto jakie przesłanki europejskie weźmie za podstawę. Czy np. szkolnictwu specjalnemu należy poddać tylko półtora procent ogółu uczniów szkół podstawowych, dwa, czy — realniej — nawet trzy? Czy następnie można poddać dalszemu kształceniu w specjalnych zasadniczych szkołach lub klasach zawodowych połowę, czy też mniejszy procent absolwentów podstawowego szkolnictwa specjalnego? Jakkolwiek by liczyć, UMCS na studia zaoczne w tym zakresie może przyjąć zaledwie ułamek procenta tych, którzy już z zamiłowaniem pracują w tym dziale pedagogiki, a wiedzę muszą zdobywać sami, opierając się o wciąż jeszcze niewielki zasób literatury, zresztą bardziej bliskiej nieustającego eksperymentu, niż zawierającej metody sprawdzone bezdyskusyjnie w praktyce pedagogiki specjalnej.

Nauczyciel pracuje — jak mi oświadczyli zgodnie pedagodzy z Zakładu Wychowawczego w Krasnymstawie — niemal po omacku. Sam np. musi tworzyć sobie elementarz dla pierwszoklasistów szkoły specjalnej, bo niczego takiego w ogóle w Polsce nie ma, mimo że oświata dla dzieci opóźnionych w rozwoju staje się coraz bardziej powszechna. Pojęcia z Falskiego, bez pomocniczych — głównie wizualnych — elementów stworzonych przez nauczyciela, nie są przyswajane. W książce Kirejczyka pt. „Nauczanie dzieci o obniżonej sprawności umysłowej" czytamy, że w okresie międzywojennym pojawił się efemerycznie taki właśnie elementarz, ale dziś można go znaleźć wyłącznie w dwóch, trzech bibliotekach kraju, jako zabytek. Nie wznowiono tamtego, nie napisano i nie wydano nowego. Nie ma także odrębnych podręczników dla ' las od I do IV, a przecież w nauczaniu początkowym są one najbardziej potrzebne. Ponoć w nowym elementarzu znajdują się pewne elementy sprzyjające pojmowaniu przez dziecko opóźnione w rozwoju. Czy jednak na pewno trafi on do szkolnictwa specjalnego, skoro ma gościć jedynie w połowie tzw. szkół normalnych? A jeśli trafi, to przecież nadal nie rozwiąże problemu — nawet w części.

Tymczasem dyrekcje i nauczyciele szkół podstawowych dążą do jak największej eliminacji spośród uczniów tych dzieci, które z różnych przyczyn odstają od swoich koleżanek i kolegów. Najczęściej są to jednak przyczyny środowiskowe, tkwiące przede wszystkim w rodzinie, no i, oczywiście, zależne od właściwości organicznych umysłowości wychowanka. W tej sprawie obserwuje się dwie skrajności: z jednej strony przymyka się oko na rzeczywiste mankamenty umysłowe dzieci rodziców zajmujących jakąś pozycję społeczną w danym środowisku, bo mogą się dobrze lub źle przysłużyć szkole, a zbyt gorliwie wypycha się dzieci, za którymi nie ma się kto ująć, choć ich opóźnienie w rozwoju nie wynika z przyczyn umysłowych, a przede wszystkim z zaniedbania w rodzinie nie doceniającej walorów dobrego kształcenia potomka, często w rodzinie alkoholicznej, zaniedbanej moralnie. Spostrzeżenia nauczycieli i wychowawców Zakładu Wychowawczego w Krasnymstawie pouczają, że co najmniej 10 procent ich wychowanków zostało tam skierowanych na wniosek szkół przez komisje selekcyjne i przychodnie psychologiczno - zawodowe zbyt pochopnie. Natomiast około 4 procent przyszło tam mylnie, bo powinno znaleźć się w „szkołach życia", ich upośledzenie jest bowiem za wielkie, by mogli cokolw mu szkoły s

Rzecz zroz zawsze się zd rym w „norm wej nie chcia rociągnąć je z do szkoły spe rzeczywiście r rozwoju, może nauczania tak misji selekcyj doczna. Wynik być także inn ny. Otóż uczeń wśród kolegów zmuszony był i byłby się w opóźnienia, na cjalnej równa cja bywa więc na nawet, g kiego przyszłe ciwie potrakto sam nie może losu.

Co myśleć o do krasnostaws wawczego pewi koncertowym u

li mecenasa, z której wywiązywał się zresztą znakomicie. Początkowo ta wyrafinowana gra artystyczna i intelektualna prowadzona z upodobaniem przez młodą parę arystokratów była odpowiedzią na wymagania stylu epoki, rozwijając się jednocześnie na podłożu rywalizacji ze Stanisławem Augustem. Bogata rezydencja stanowiła wartość propagandową, działała na treść zbiorowej opinii, funkcjonowała także podczas nieobecności właścicieli, co wówczas, w latach osiemdziesiątych, zdarzało się nader często. Czartoryscy wojażowali po Europie, przebywali w Warszawie. Po trzecim rozbiorze sytuacja zmieniła się zasadniczo. A perfect Englishman, jak zwano księcia w młodości, osiedlił się z całą rodziną w Puławach, podejmując inne wyzwanie historii: podtrzymywania świadomości narodowej. Pracował naukowo, wspierał pisarzy, artystów i uczonych, zorganizował nową szkołę magnacką i odbudował zniszczony księgozbiór. Można powiedzieć, że Czartoryscy — w późniejszym okresie przede wszystkim Izabela — jedni z pierwszych w Polsce posłużyli się kulturą w celu ratowania tożsamości narodowej. Do współpracy zaprosili liczną grupę cudzoziemców, którzy świetnie wywiązali się z tego zadania. Mało tego: wielu z nich uznało tę rolę za własną, serdeczną sprawę.

U schyłku XVIII wieku w pałacu puławskim Norblin malował fety ogrodowe, Wojniakowski portrety, Kajetan Koźmian recytował panegiryki na cześć księcia Adama, Aigner kreślił projekty. Od czasu do czasu całe to towarzystwo wycieczkowało po okolicy. Antoni Amborski, uczestnik wyprawy do odległej o kilka kilometrów Parchatki, zanotował: *przy kończącej się wiosce zaczynają się stuletnie topole w linii prostej sadzone koło gościńca, prowadzącego do wsi Parchatki, w której ogród wzniesiony jest na wielkiej górze (...). Widać stąd wieże i zamki starożytnego miasta Kazimierza.*

Czartoryscy niewątpliwie znali i bywali w Kazimierzu. Wacław Husarski zauważa nawet mimochodem, że opiekowali się miastem, co jednak nie znajduje potwierdzenia w źródłach. Ich zainteresowanie nie opodal leżącą miejscowością musiało wynikać ze „starożytnego" charakteru kamienic Przybyłowskich, fary, ruin zamkowych. Widocznie cenili te „pamiątki przeszłości", skoro kierowali do Kazimierza swoich artystów. Jednym z nich był Józef Richter, który na dwór puławski przyjechał z Drezna w 1806 roku. Po czternastu latach pobytu u Czartoryskich przeniósł się następnie do Warszawy, gdzie kopiował m. in. ryciny ze „Zbioru widoków sławniejszych pamiątek narodowych", umacniając swą przyjaźń z Voglem. Wystąpił nawet w charakterze świadka przy spisywaniu testamentu przez autora „Widoku Kazimierza Dolnego od strony Puław".

Kazimierskiej sprawie przysłużył się również Jan Zachariasz Frey, rodowity wiedeńczyk, który po przybyciu do Puław w 1804 roku objął godność nadwornego malarza Czartoryskich, zaraz po opuszczeniu Polski przez Norblina. Krótko jednak pełnił tę funkcję, bo zaledwie kilkanaście miesięcy; w 1805 roku przeniósł się do Warszawy.

W puławskiej rezydencji znajdował się także początek pewnej bardzo ważnej dla sztuki polskiej linii rozwojowej, w którą zaplątany został Kazimierz. Jej projektantem był, rzecz jasna, Norblin, artysta, który pierwszy zwrócił uwagę Polaków na swojską codzienność, zainteresował pejzażem rodzimym, scenerią małych miast. Wyjątkowo ruchliwy w okresie puławskim (1795—1804) poza uwiecznieniem pałacu i jego okolic znajdował jeszcze czas na dalekie wyprawy.

W 1803 roku rysował „Le Chateau de Lublin en Pologne" i utrwalił sepią doroczny jarmark na św. Idziego w Łęcznej, gdzie dzisiaj powstaje zagłębie węglowe. Notował we wsiach typy ludowe, rysował motywy rodzajowe i architektoniczne w Opolu Lubelskim, podejmowany zapewne przez Aleksandra Lubomirskiego, a może wizytujący swego przyjaciela, znakomitego gliptyka V. R. Jeuffroya, który przez kilka lat pracował w tamtejszym pałacu. Przede wszystkim twórczość i pozycja na dworze Czartoryskich, ale również i te wyprawy przyczyniły się do znacznej popularności Norblina. Jego malarstwo i sposób bycia stały się wzorem dla młodego pokolenia artystów. Błogosławione w skutkach okazało się to zapatrzenie.

Jednym z tych, którzy ulegli twórczości i legendzie Norblina, był bowiem Jan Feliks Piwarski. Urodził się we Włostowicach w 1794 roku, które w hierarchii kościelnej znacznie przewyższały Puławy: tam właśnie od pierwszej połowy XVII wieku aż do roku 1919 znajdowała się parafia. We włostowickim kościele dwór Czartoryskich celebrował chrzty, śluby i pogrzeby, dość skrupulatnie zapisane w szczęśliwie zachowanych księgach metrykalnych parafii. Wynika z nich ponadto, że świadkami i kumami podczas uroczystości bywali często artyści pałacowi lub pracujący dla Czartoryskich.

Zdaje się, że ci malarze, rzeźbiarze i architekci tworzyli dość zwarte środowisko zawodowo-towarzyskie. Sugeruje to wzajemne świadczenie sobie usług w najbardziej osobistych sytuacjach, jak np. podawanie dzieci do chrztu. 15 stycznia 1764 roku wyzwolono na przykład z grzechu pierworodnego dziecię o nazwisku Hoffman, nadając mu imię Antoni; był to późniejszy zarządca „fabryk" Czartoryskich. Obok rodziców naturalnych — Brygidy i T. Hoffmana, rzeźbiarza puławskiego — stanęli rodzice chrzestni: architekt pałacowy Franciszek A. Mokein, podchorąży Gwardii Królewskiej i twórca domku chińskiego oraz jego żona Barbara. Po 23 latach Antoni Hoffman, syn projektanta rokokowych ołtarzy w kazimierskim kościele reformatów, sam wystąpi w roli ojca chrzestnego, trzymając dziecko architekta Joachima Hempla.

Co wiązało tych ludzi? Chyba poczucie wartości własnej, wynikające z faktu bycia artystą. Oświecenie ceniło i szanowało ludzi sztuki, zbliżający się romantyzm miał ich ostatecznie nobilitować.

W takim klimacie wyrastał Jan Feliks Piwarski. Za młody, aby znać Norblina osobiście, uczył się przecież rytownictwa i rysunku u Józefa Richtera, który doskonale orientował się w twórczości Francuza. Więc Piwarski, obdarzony skromnym raczej talentem, szybko przyswoił sobie stylistykę kronikarza „menus — plaisir" i przez pewien czas malował zgrabne, nieco idealizowane widoki Puław i Kazimierza, utrzymane w manierze rysunków Norblina.

Piwarski przejął rolę Norblina „otwierania oczu na piękno rodzime". Jako nauczyciel rysunku w szkołach warszawskich (po 1831 roku), a następnie profesor malarstwa krajobrazowego w tamtejszej Szkole Sztuk Pięknych (1844—1848) wykształcił pokolenia artystów, którym zaszczepił przekonanie, że podstawowym obowiązkiem twórcy jest studiowanie polskiego krajobrazu i uważna obserwacja życia ludu. Program Piwarskiego — romantyka — mieścił się w ramach ogólniejszej tendencji, której charakterystycznym wyrazem były narodziny etnografii i działalność Oskara Kolberga.

Ideę autora popularnego „Kramu malowniczego" miał rozwinąć jeden z jego wybitniejszych uczniów, Wojciech Gerson. Wizytował on również i rysował Kazimierz, tyle że w połowie XIX wieku. Publikowane znacznie później reportaże z wyprawy znamionuje plastyczność opisu i wartki tok narracji, zręczne posługiwanie się anegdotą oraz bogate słownictwo. Z kolei Gerson wychował liczną i świetną grupę malarzy, m. in. Chełmońskiego, Wyczółkowskiego i Stanisławskiego.

Po klęsce powstania listopadowego Czartoryscy osierocili Kazimierz. Prezes Rządu Narodowego udał się na emigrację do Paryża, jego matka Izabela także musiała opuścić Puławy, unosząc w pamięci huk dział, z których jej własny wnuk, książę Adam Wirtemberski ostrzeliwał rezydencję. Dobra Czartoryskich uległy konfiskacie, a Kazimierz utracił kontakt z ludźmi, którzy wprowadzili go w nowe życie: o b r a z o w e.

Dosłownie w przeddzień tych wydarzeń doszło jednak do jeszcze jednej wymiany między obu miejscowościami. Tracąc ziemię i budynki, Izabela Czartoryska usiłowała uratować majątek, który miał się okazać najcenniejszą spuścizną tego rodu. Chodziło o dzieła sztuki, rękopisy, o świadectwa polskiej kultury i historii. Część zakopano w ziemi pod „Świątynią Sybilli", wspaniałą bibliotekę wywieziono najpierw do Góry Puławskiej, potem do Warszawy, stamtąd do Galicji, aby ostatecznie ulokować ją w Hotelu Lambert. Była to praca tyle niebezpieczna, co delikatna i zmuszająca do zaangażowania wielu różnych ludzi. Obrazy i skrzynie z książkami nosili na plecach szlachcice, magnaci, artyści i zwyczajni chłopi. Żaden nie pisnął słowa, mimo dwukrotnego śledztwa prowadzonego przez zaborców wszyscy dotrzymali tajemnicy. Właśnie wtedy zawiadowca „Domu Gotyckiego" przetransportował część zbiorów do Kazimierza, gdzie ukrył je w klasztorze reformatów. Widać stosunki między puławskim pałacem a elitą „starożytnego" miasta były dobre i opierały się na wzajemnym zaufaniu.

Długotrwała, konspiracyjna akcja ratowania kulturowych wartości, zgromadzonych przez Czartoryskich, powiodła się bez reszty. Po licznych i dalekich peregrynacjach pamiątki narodowe trafiły w 1876 roku do Krakowa, dając początek Muzeum Czartoryskich przy ul. Pijarskiej 8.

108 lat po powstaniu w kazimierskiej przystani przycumował statek imieniem „Paweł", holujący pakowny galar. W jego wnętrzu spoczywały wielkie skrzynie i rulony, kryjące arrasy, szczerbiec i inne dzieła sztuki, ewakuowane z Wawelu. Drogę od Krakowa przebyły na ludzkich ramionach i barkach wiślanych. Z Kazimierza powieziono je dalej, na wschód, załadowawszy na chłopskie wozy. Ostatecznie trafiły do Kanady, gdzie przeleżały niemal ćwierć wieku, aby wrócić znów do Krakowa.

Ta zdolność do ludzkiej konsolidacji w momentach zagrożenia tradycji narodowej — jakie to charakterystyczne dla Polaków. Podobnie jak skłonność do „chadzania we frakcje" w czasie pokoju.

RUDNEGO UCZNIA?

Tadeusz Jasiński

ąć z progra-

omyłki mogą
ecko, nad któ-
kole podstawo-
ować, aby wy-
a, po przyjściu
na tle dzieci
późnionych w
prawić wyniki
e pomyłka ko-
aż nazbyt wi-
pomyłki może
n nieodwracal-
znajdował się
rozwiniętych,
swój poziom
wydźwignął z
w klasie spe-
w dół. Sytua-
tyczna, tragicz-
rzeć na los ta-
atela, niewłaś-
w czasie, gdy
tować swojego

ści skierowania
Zakładu Wycho-
adzia, który po
niu tamtejszych

ośmiu klas chytrze ominął wszelkie rejestracje szkolnictwa specjalnego, ukończył z dobrymi wynikami zasadniczą szkołę zawodową, a teraz jest średnim uczniem jednego z techników? Czemu to taki sobie uczeń Antoś znalazł się w Zakładzie Wychowawczym, chociaż sprawdziłby się z powodzeniem w szkole zwykłej? No tak, ale brat i siostra są głuchoniemi, są w zakładach, w których mogą się uczyć, więc i jego skierowano do szkolnictwa specjalnego. A co tu robią Krysia, Jola, Baśka, Wojtek, Marek, Tomek? Niektórzy spośród nich tępieją, bo cóż to dla nich za konkurencja? Inni w niezasłużony sposób przodują, stają się małymi gwiazdorami tylko dlatego, że znaleźli się tu przez pomyłkę, lub wygodnictwo nauczycieli macierzystej szkoły podstawowej.

Zasugerowanie komisji opiniami wychowawcy klasy jest czasem decydujące. Opinii tej ulegają także rodzice i zgadzają si- na umieszczenie dziecka w zakładzie wychowawczym. Tymczasem taki „przodownik" nie zawsze jest pomocny nauczycielowi szkoły specjalnej, bo jego „sukcesy" zabijają nadzieje i ambicje w uczniach potrzebujących rzeczywiście specjalnego podejścia pedagogicznego i wychowawczego. W szkole zwykłej nie mogli sobie zbyt wiele przyswoić, byli często przez kolegów wyśmiewani, zawstydzani nawet przez nauczycieli, czuli się upośledzeni społecznie. Teraz, kiedy mogliby się poczuć jak równi wśród równych, znowu znaleźli się „prymusi" i to nie z powodu ich szczególnych uzdolnień oraz pracowitości, ale dlatego, że pozbyto się ich lekkomyślnie tam, gdzie mieliby rzeczywiście godnych siebie współzawodników.

Od dawna już interesuję się złożonym i trudnym problemem młodzieży opóźnionej w rozwoju. Jestem coraz bardziej przekonany, że szkolnictwo specjalne powinno być powszechniejsze, ale bardziej zróżnicowane. Oprócz zwykłych szkół i klas specjalnych powinno być więcej odmiennych zakładów. Przecież i różnego stopnia są upośledzenia, opóźnienia w rozwoju. Niemałą rolę odgrywają też grupy wiekowe. Do szkoły podstawowej zakładu specjalnego chodzą na przykład dziewiętnastoletnie pannice, które mają problemy osobiste, nie dające się w niczym pogodzić z życiem wewnętrznym dwunasto- czy czternastolatków z tej samej klasy. To samo, gdy chodzi o przerosłych chłopaków, sporych niekiedy osiłków.

Nowo tworzące się kuratoria, którym podlegają niewielkie obszary, nie sprostają sprawie. Dla uczniów kwalifikujących się do takiego odrębnego potraktowania w ramach szkolnictwa specjalnego powinny być powołane zakłady międzywojewódzkie. Nasuwa się też pilna potrzeba utworzenia, choćby krótkookresowych, placówek rehabilitujących, które przejmowałyby absolwentów podstawowych szkół specjalnych. Nieszczęśliwą ponadto wydaje się nazwa: zakład wychowawczy. Wielu mieszkańców danej miejscowości utożsamia go z zakładem poprawczym. Z tej przyczyny dopiero w tym roku wychowankowie takiego zakładu po raz pierwszy mogli uczestniczyć w pochodzie pierwszomajowym i w Krasnymstawie stanowili najlepszą grupę szkolną. Coraz mniej osób nazywa ich „tymi z poprawczaka". Czyż nie byłaby lepsza nazwa: Państwowy Zakład Szkolnictwa Specjalnego?

W szkolnictwie specjalnym i wokół niego istnieje jeszcze wiele nieporozumień. Jeżeli zwykłe szkolnictwo podstawowe i zasadnicze ma osiągać dobry poziom, musi rzeczywiście być wolne od uczniów, których cechuje poważne opóźnienie w rozwoju. Nie może ono jednak pozbywać się w ogóle problemów wychowawczych i dydaktycznych z dziećmi trudnymi, bo powoduje to ukazane wyżej skutki z kolei w szkolnictwie specjalnym i waży na losach części młodych obywateli, wpływa na ich przyszłe życie zawodowe i osobiste. Aby części uczniów nie wydzielano ze zwykłego szkolnictwa zbyt pochopnie, nie wyzbywano się ich nierozważnie, lub też części nie awansowano do szkół specjalnych, podczas gdy powinni znaleźć się raczej tylko w szkołach życia, aby też nastąpiły lepsze efekty z opanowania programu i osiągania wyników wychowawczych w samych szkołach specjalnych i zakładach, trzeba nam m. in. więcej absolwentów wyższych studiów z zakresu pedagogiki specjalnej.

Na obszarze województw wschodnich sprawa ta leży w gestii UMCS. Odpowiedni wydział powinien więc otrzymać jeszcze większą opiekę Senatu uczelni, lepsze środki i o wiele większe limity miejsc ze swego resortu. Przy tej liczbie miejsc dla nauczycieli szkolnictwa specjalnego z tych województw sytuacja niewiele się polepszy, nawet za 10 lat. Potrzebna jest tu zasadnicza zmiana, nadzwyczajne podniesienie liczby przyjęć, przy równoczesnym zachowaniu wysokiego poziomu nauczania.

Kamena str. 9

REFLEKSJE NAD KSIĘGĄ O PISARZACH ZIEMI LUBELSKIEJ

Jerzy Starnawski

BADANIA regionalne historycznoliterackie dokonały w trzydziestoleciu 1944 — 1974 ogromnego postępu; karta ich na niejednym odcinku chlubna. Przodują dwa ośrodki: Wrocław i Poznań. Od pierwszych chwil zorganizowanego polskiego życia naukowego w stolicy Śląska działał tam przedwcześnie zmarły Tadeusz Mikulski, wydobywający z popiołów każdy szczegół łączący w przeszłości śląską ziemicę z kulturą polską. Klasyczne są jego książki: Spotkania wrocławskie i Temat Wrocław (ta druga wydana po śmierci autora); szlakiem przez niego wytyczonym rozwijają się badania prowadzone przez następców. W środowisku poznańskim rozkwitła bujnie szkoła Zygmunta Szweykowskiego. Badania przez niego zaczęte rozwija przede wszystkim Jarosław Maciejewski. Zbiorowe Literackie przystanki nad Wartą i cykl Wybitni Wielkopolanie uważać należy za osiągnięcia równie klasyczne, jak wspomniane tomy Mikulskiego.

W porównaniu z dokonaniami środowisk wrocławskiego i poznańskiego badania literackie nad regionem lubelskim przyniosły — jak dotąd — rezultaty skromniejsze nieco, aczkolwiek nie pozostające bez znaczenia. Ale też Ziemia Lubelska nie może poszczycić się pobytem na tym terenie Mickiewicza czy Słowackiego. Regionalna działalność Feliksa Araszkiewicza jest kartą, którą tak dobrze mamy jeszcze w pamięci, a przecież kartą nie jedyną.

Niezależnie od obu działających po ostatniej wojnie uniwersytetów lubelskich, na których reprezentowana jest polonistyka i prowadzone są badania regionalne nie tylko językoznawcze (gwary, onomastyka) lecz i historycznoliterackie, trud życia całego oddał sprawie literatury regionu lubelskiego wieloletni nauczyciel szkół lubelskich (w młodości siedleckich) August Grychowski (1888—1973). Książka jego dojrzewała latami od pierwszej wersji zarysowej, ogłoszonej w 1939 roku [1]), poprzez drugie wydanie już znacznie rozszerzone [2]), aż do edycji trzeciej, której autor już nie doczekał [3]).

Pierwsze dwie redakcje traktowały tylko o pisarzach związanych życiem i twórczością z Lublinem, edycja trzecia — zgodnie z sugestią recenzenta zgłoszoną na łamach „Ruchu Literackiego" [4]) — nie pozostawiła poza burtą pisarzy lubelskiego regionu działających w licznych miastach, miasteczkach i wioskach Ziemi Lubelskiej. Włączony więc został Zamość szczycący się tradycjami renesansowymi czasów Jana Zamoyskiego i Simonidesa, w XX wieku miasto Leśmiana, Puławy Czartoryskich z Kniaźninem i z tylu innymi, wreszcie „Nałęczów Prusa i Żeromskiego", by się posłużyć słowami inicjatora Muzeum Prusa istniejącego obecnie w nałęczowskim Pałacu Małachowskich [5]).

Książka Grychowskiego rozszerzona została w trzecim wydaniu pod jednym jeszcze względem, ma ambicję, może nie zawsze szczęśliwą, opatrywania poszczególnych rodziałów przydługimi wstępami o charakterze historycznym. Cała historia regionu lubelskiego nie została złożona; czuje się także, iż kompetencje autora w tym zakresie nie były równe jego kompetencjom historycznoliterackim.

W przedstawieniu spraw literackich autor nie wyczerpał tematu, ale za to co zrobił, należy mu się wielka wdzięczność i ogromne uznanie od wszystkich badaczy i miłośników Ziemi Lubelskiej. Należą się słowa podziwu dla nauczyciela, który w ciężkiej pracy pedagogicznej znajdował czas na poszukiwania biblioteczne, a poszukiwania te były bardzo owocne.

Piękne posłowie Stanisława Fity zamieszczone w książce jest zarazem pierwszą jej recenzją. Autor słów niniejszych obszerną recenzję, w wymiarach więcej niż jednego arkusza, przesłał „Pamiętnikowi Literackiemu". Książka ogromnie pożyteczna, przynosząca na każdej stronicy kilkadziesiąt informacji o pisarzach lubelskich, nie ustrzegła się i ustrzec nie mogła, szeregu opuszczeń i nieścisłości. Książkę — informatorium o tak dużym obszarze naszej kultury powinien wypracować zespół ludzi, a nie jeden człowiek nie kontaktujący się z pracowniami uniwersyteckimi historii literatury polskiej.

Szczegółowej listy braków i opuszczeń wypadnie zaoszczędzić czytelnikom „Kameny". Pomieści je recenzja na łamach „Pamiętnika Literackiego". Przykładowo tylko wskazać wypadnie, że wśród pisarzy dawnych pominięty został całkowicie Jan Dantyszek, proboszcz w Rudnie i w Gołębiu, pominięta fraszka Alberta Inesa pt. Prawo Krupy z Krzyżakami, zbyt mało wykorzystane zostały Listy Krzysztofa Opalińskiego do brata Łukasza, nie wspomniane znane już dziś koneksje Marcina Borzymowskiego z Ziemią Lubelską, nie wykorzystana Korespondencja Krasickiego, Niemcewiczowe Pamiętniki czasów moich, niewystarczająco omówiony pobyt Grodka w Puławach, pominięte opowiadanie Korzeniowskiego Wtorek i piątek, Stanisława Arcta Okruchy wspomnień, zbyt krótko omówiony Hieronim Łopaciński, nie wydobyte należycie koneksje Zofii Kowerskiej z Ziemią Lubelską w świetle jej nowel i powieści... Naturalnie Pamiętników Henryka Wiercieńskiego, ogłoszonych w 1974 roku, znać nie mógł. Ale ustęp o Nałęczowie i o nałęczowskich pisarzach z Jadwigi Waydel Dmochowskiej Dawnej Warszawy zasługiwał na wykorzystanie, nie należało pominąć Kadena Bandrowskiego Aciaków z I A (wzmianka o Zamościu). Największym brakiem całej książki jest zupełne pominięcie Hanny Malewskiej. Oprócz wymienionych tu pominięć szereg wskazał już w posłowiu Stanisław Fita, przede wszystkim pominięcie związków z Ziemią Lubelską Adolfa Dygasińskiego.

Mimo licznych braków, pominięć, niedokładności, z których wyliczono tu garstkę zaledwie, książka z pewnością odda usługi duże jako informatorium o pisarzach lubelskich podstawowe, jedyne tak obszerne, od Wincentego po raz pierwszy wzmiankującego o Lublinie (nb. w fantastycznym kontekście) po rok 1968. Ale lublinianie, ciesząc się jej istnieniem, jej trzecim wydaniem, powinni już obecnie pomyśleć o wydaniu czwartym, przygotowywanym w ciągu kilku najbliższych lat zespołowo. Zachowa ono nazwisko Grychowskiego, będzie jednak „nowym Grychowskim" tak jak Nowy Korbut jest całkowitym przerobieniem dawnego, ale nazwisko pierwszego twórcy nowożytnej bibliografii literatury polskiej zachowuje na karcie tytułowej. Jako potencjalnego redaktora „nowego Grychowskiego" wskazać należy dr. Stanisława Fitę, któremu Wydawnictwo Lubelskie powierzyło jak najsłuszniej napisanie posłowia do ostatniego wydania książki. Z trafnym wyborem Wydawnictwa wypadnie się solidaryzować. Redaktor naczelny powinien czuć się jednak przewodniczącym zespołu. W zespole tym nie powinno zabraknąć dr. Stefana Jerzego Buksińskiego, potencjalnego konsultanta od spraw puławskich. Pracami swymi, już licznymi, za mało, niestety, znanymi polonistyce ogólnopolskiej, ani razu nie zacytowanymi przez Grychowskiego, dał się on poznać jako fenomenalny znawca Puław „czasów ich świetności" [6]). A więc — patrioci i badacze Ziemi Lubelskiej: do pracy!

Tym patetycznie sformułowanym akcentem można by zakończyć krótki artykuł. Ale to jeden tylko aspekt sprawy, jedna myśl, jaka się nasunęła czytelnikowi ważnej i pożytecznej książki Grychowskiego. Ale jest i drugi aspekt. Obok ogólnopolskiej myśli edytorskiej istnieje w Polsce „regionalna" myśl edytorska, jeśli się tak wolno wyrazić. Inicjatywy regionalne są niekiedy niebłahe. Biblioteka Pisarzy Śląskich może się w swej serii staropolskiej, wzorowanej wyraźnie na IBL-owskiej Bibliotece Pisarzów Polskich i dotrzymującej kroku pod względem precyzji serii egzemplarycznej, poszczycić bodaj tomami Walentego Roździeńskiego i Adama Gdacjusza. Wydawnictwo Morskie stworzyło już nie nazwaną serię, w której obok tomu Marcina Borzymowskiego znalazły miejsce Trzy podróże (J. Kochanowski, A. Zbylitowski, T. Grotkowski). Olsztyńskie wydawnictwo „Pojezierze" powołało do życia serię Literatura Warmii i Mazur w dawnych wiekach. Linię tego wydawnictwa powitać należy z całym uznaniem (Kromer, Dantyszek, Murzynowski). Czyż Lublin mający tak bogate tradycje pozostawać będzie nadal w tyle? Seria Literatura Ziemi Lubelskiej w dawnych wiekach powinna być niezwłocznie powołana do życia w Wydawnictwie Lubelskim. Plan jej chętnie naszkicuje piszący te słowa, gdyby inicjatywa wzbudziła oddźwięk w społeczeństwie lubelskim. Rzecz jasna, że książka Grychowskiego będzie tu walną pomocą. Już dziś zasygnalizować wypadnie, że poematy łacińskie Sebastiana Klonowica wydane dwujęzycznie (Roxolania i Victoria deorum) powinny tu pójść na pierwszy „ogień". Jest to jedno z największych zaniedbań naszych. Listę innych, mniejszych i większych, da się łatwo uzyskać. Serię o innym nieco profilu edytorskim można by przewidzieć również dla dziewiętnastowiecznych powieści, z których niejedna (bodaj jakiś skromny wybór z dzieł Zofii Kowerskiej) choćby dla celów poznawczych zasługuje na wznowienie. Po rozpoczęciu postulowanych tu prac spostrzeżemy, jak wielkie usługi odda w tej akcji praca Grychowskiego.

1) Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich. Cz. 1. Pisarze staropolscy, pseudoklasycy romantycy. Lublin 1939: Powieści. Sprawozdanie gimnazjum i liceum im. Stanisława Staszica za rok szkolny 1938/39. Lublin 1939.

2) Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich od średniowiecza do r. 1918. Lublin 1965.

3) Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich od średniowiecza do 1968 r. Lublin 1974. (Posłowie napisał Stanisław Fita)

4) Por. J. Starnawski: Z najnowszych lublinianów literackich. „Ruch Literacki" R. 7: 1966 nr 1 s. 45—49.

5) Por. F. Araszkiewicz: Dzieła i twórcy. Warszawa 1957, s. 200—220.

6) Por. St. J. Buksiński: O Puławach czasów ich świetności. „Teka Puławska" 1972, s. 12—19. Z innych prac puławskiego regionalisty wymienić warto: Pamiętnikarze polscy o Puławach. W: Kalendarz Lubelski 1970, s. 256—257; Puławy jako ośrodek kultury w latach 1671—1831. W: Spojrzenia w przeszłość Lubelszczyzny. Lublin 1974, s. 97—111.

Dobry wojak Yossarian

Wiesław Horabik

AMERYKAŃSKA literatura antymilitarystyczna zna piękne przykłady książek, które jak każda wielka literatura tworzą obraz zdarzeń zapadających głęboko w naszą świadomość, osadzając się na zawsze w naszej etyce i koncepcji świata, współtworząc nasze życiowe przeżywanie. „Żołnierska zapłata" Faulknera, „Stąd do wieczności" Jonesa, „Długi marsz" Styrona. To ciekawe, jak wielki ślad odcisnęło wojowanie w kraju, który do niedawna jeszcze mógł spokojnie uważać wojnę za business Europy.

Zbadać amerykański literacki dylemat armii, to dotrzeć blisko amerykańskiego ducha. Ducha zagnieżdżonego w prywatnym światku i zakochanego do anarchii w swej specyficznej „demokracji". Każda próba jawnej dyscypliny i zaszeregowania to atak na indywidualny świat, obwarowany od lat warknięciem „It's none of your business". To atak na jednostkowy świat wychylający się w społeczność tylko po to, by obrócić obojętną twarz na każdego nieznajomego.

Pewien odsetek tej peloratywnej fascynacji maszynerią armii to także owoc Korei i Wietnamu świeżego głosu oburzenia za krwawą, niewdzięczną służbę obcej, dalekiej i bezsensownej wojnie. Po Korei Jones napisał „Stąd do wieczności" a McCullers „W zwierciadle złotego oka". Po Korei i tuż przed Wietnamem powstał dobry wojak Yossarian, który przemówił ostatnio i naszym głosem. Specyficznej ironii „Paragrafowi 22" dodaje fakt, że to Hollywood przeniósł go na ekran. A Hollywood to także część „paragrafu".

„Yossarian położył starej na kolanach pieniądze — aż dziwne, ile krzywd starano się naprawić dając pieniądze — wyszedł z mieszkania, przez całe schody przeklinając wściekle paragraf 22, chociaż wiedział, że coś takiego nie istnieje. Paragraf 22 nie istniał, był o tym przekonany, ale jakie to miało znaczenie. Liczyło się to, że wszyscy myślą, że on istnieje...".

Paragraf stworzyli ludzie wymierzając go przeciw sobie, a w szczególności wymierzając go przeciw Yossarianowi, którego jedynym pragnieniem było żyć. Paragraf stanowi ostateczny wymiar życia — absurd, a do paragrafu najlepiej pasuje wojna, wtedy jego operatywność tężeje i nasiąka szczególną goryczą.

Jestem pewien, że Joseph Heller napisał swoją książkę po to, by i u nas nie przeszła bez echa, bo to niemalże zjawisko. Od Haszka nikt chyba nie powiedział o wojnie tak soczyście i z tak gorzkim humorem; od Haszka chyba nikt nie opowiedział o bezsensie tak niecierpliwie i wprost.

Dobry wojak Yossarian, pilot eskadry bombowców stacjonującej w wyzwolonej części Włoch, w kilkadziesiąt lat po swoim pierwowzorze spotyka na swej wojennej drodze ten sam niezmienny absurd i bezsens wojny, której nie wywołał, a której musi służyć i której służy do pewnego logicznego punktu, a której nie chce służyć poza granicami logiki i obowiązku. Yossarian chce żyć, jak każdy normalny człowiek w jego wieku (28), jak każdy normalny człowiek w każdym wieku. Pragnienie życia stało się jego obsesją po tym, co zobaczył w powietrzu. Yossarian zna życie, bo Yossarian patrzył jak się ono kończy. Nikt nie zna życia lepiej od tego, kto zobaczył jak się ono kończy od kawałka żelaza, od pomyłki, od idiotycznego samobójstwa milionów za interes jednego, dwóch, tysiąca ludzi. Yossarian nie bawi się z wojną w subtelności. Jest na to za amerykański i specyficznie za egoistyczny nie dzieli jej na słuszną-obronną i niesprawiedliwą-zaborczą. Dla niego wojna to tylko bezsens umierania. Za garstkę zidiociałych, amoralnych, tłustych dowódców, którzy podnoszą jego prywatną barierę przetrwania, a kiedy tylko się do niej zbliży, Yossarian nie widzi Ojczyzny, ani sensu. Yossarian chce żyć, a w poprzek jego życiu stają Oni. Yossarian zaliczył przepisową ilość lotów bojowych i uważa że ma już prawo skryć się w szklanym domku bezpieczeństwa. Yossarian takie prawo chyba ma, bo spełnił obowiązek i widział, jak umiera Snowden, z wnętrznościami na brudnej podłodze, i zakochany Nately i McWatt, pomachawszy skrzydłami na pożegnanie i inni, a Milo żyje i żyć będą pułkownicy, bo pułkownik Cathcart zaliczył cztery loty bojowe, z czego dwa spacerowe do Neapolu.

Cała książka utrzymana jest w konwencji absurdu i beznadziejności, ale fragmenty istotnego heroizmu i cierpienia zawsze są wycieniowane z goryczą i realizmem. Gdzieś poza serdecznym śmiechem, wciąż tkwi w nas poruszony jakiś nerw, który pulsuje czymś nieokreślonym i bolesnym.

Poza groteskową sceneria obozu na Pianosie wciąż czujemy czającą się nienawiść wszystkich małych ludzi tego świata, skrytą wykrętnie, jak kochanka się świata. Nately'ego, by dopaść znienacka i zabić Yossariana, a z nim naszą wiarę w porządek rzeczy.

Yossarian, wbrew swemu specyficznemu egoizmowi, i wbrew głoszonym poglądom o zidioceniu swych współtowarzyszy staje tylko raz i to na moment na pozycji nielojalności wobec braterstwa i koleżeństwa. Jego walka jest samotna po prostu dlatego, że jest najbardziej subtelnym i wrażliwym człowiekiem w całej jednostce. Wbrew pozornemu egoizmowi odczuwa niepokój o los innych z siłą równą niepokojowi o los własny.

„Yossarianowi zrobiło się żal Orra. Był taki mały i brzydki. Kto go będzie bronił, jeżeli przeżyje? Kto obroni tego dobrego, prostodusznego gnoma przed chamami, klikami i wytrawnymi sportowcami jak Appleby, którzy mają muchy w oczach i którzy przy pierwszej nadarzającej się okazji stratują go z pychą i niewzruszoną pewnością siebie. Yossarian często martwił się o Orra. Kto go osłoni przed wrogością i kłamstwem, przed ludźmi o wybujałych ambicjach, przed zgorzkniałym snobizmem żon grubych ryb, przed nędznymi, poniżającymi zniewagami pogoni za pieniądzem i przed zaprzyjaźnionym rzeźnikiem z naprzeciwka z jego gorszym mięsem? Orr był zadowolonym z życia, niczego nie podejrzewającym prostaczkiem z wielką strzechą falistych, polichromatycznych włosów z przedziałkiem pośrodku. Będzie po prostu igraszką w ich rękach. Zabiorą mu pieniądze, zerżną żonę i nie okażą litości jego dzieciom".

Także i marsz Yossariana przez wynędzniałe, sprośne, lepkie od mgły Wieczne Miasto — Życie stawia go w wymiarze uniwersalnego potępiciela, głosu zdrowej części ludzkości przeciw absurdom biurokracji, bezduszności i chamstwa.

I to jeszcze jeden z powodów, dla których „Paragraf 22" powinien stanąć na półce w naszej biblioteczce i jeśli to możliwe blisko, bliziutko innych dobrych znajomych, od których uczymy się świata.

PUDEŁKO SAMOSIEJKI

Tadeusz Żakowiecki

UKRADŁEM dziadkowi pudełko dobrze wysuszonej i cienko pokrajanej samosiejki, bo wszyscy wokoło gadali, że Rosjanie mają żywności w bród, ale są głodni samogonu i palenia.

Z tą samosiejką było tak:

Wybraliśmy się z dziadkiem na wieś po kartofle. Kiedy przysiedliśmy pod ceglastym parkanem małego wiejskiego cmentarza żeby odsapnąć, pojawił się jakiś dobrotliwy chłop gadula i podsunął dziadkowi wytarty skórzany woreczek, by sobie zrobił skręta. Od słowa do słowa, zamiast kartofli przynieśliśmy w worku gruby pęk samosiejki, wyhodowanej przez dobrotliwego chłopa pod lasem, w burakach cukrowych. Babka była wtedy jak burza. Trzaskała przy kuchni rondlami i odgrażała się, że dostaniemy na kolację zmarzniętą brukiew, a nie placki kartoflane.

Dziadek cały czas chował troskliwie samosiejkę przed nieprzemijającym gniewem babki, i teraz, kiedy samosiejka zginęła, mrukliwe pioruny i cholery posypały się w jej stronę. Dobrze, że babka była trochę głucha, bo rozżalony dziadek zapominał się i klął prawie głośno.

Pierwsze czołgi i samochody pancerne pojawiły się na naszym przedmieściu z samego rana, ale około południa potoczyły się ze zgrzytem dalej. Pod wieczór nadjechały zwykłe samochody ciężarowe i dopiero wtedy Rosjanie rozsypali się po domach na kwatery.

Tego, który mi się spodobał od razu, i któremu postanowiłem wręczyć skradzione pudełko, zobaczyłem po raz pierwszy przy studni.

Mróz gryzł jak wściekły pies — bo to było po lewej stronie Wisły — a on był rozebrany do połowy i jak gdyby nigdy nic, tarł mydłem swój muskularny tors.

Już z bliska patrzyłem, jak młodziutki żołnierz naciska powolutku pompę, a ten wariat chlusta na siebie całe garście ciężkiej połyskliwej wody. Widziałem grubą warstwę lodu dookoła studni, sękate sople zwisające z dachu komórek i zimno wcisnęło mi swą wstrętną łapę za koszulę. Ale stałem tam z zapartym tchem i niecierpliwie czekałem, kiedy skończy się to mycie.

Gruzły mięśni długo pełzały i drgały pod białą skórą mojego żołnierza, a potem zdziwiłem się: po wciągnięciu koszuli i bluzy m ó j żołnierz okazał się oficerem.

Nie znałem się wtedy dobrze na stopniach. Na swojego patrzyłem jak na generała. Niepewnie wyciągnąłem do niego rękę z pudełkiem dziadka.

— Co takiego, ha? — spojrzał na mnie z udawaną surowością. A kiedy otworzył ostrożnie pudełko, roześmiał się szeroko, błyskając białymi zdrowymi zębami.

— Nie palę — powiedział rozkładając ręce. A jak zobaczył moje zawiedzione spojrzenie, dodał: — Dobrze, dobrze, nie martw się, chłopaki palą. — Potem popatrzył na mnie kpiąco, pociągnął mnie delikatnie za ucho i mruknął, niby to groźnie: — Chodź, pokażę pistolet.

Aż mnie zaparło z wrażenia. Przed godziną Edek spod osiemnastego chwalił się, że jeden żołnierz dał mu do potrzymania pepeszę... Ale co tam pepesza! Pistoletu nie nosi byle kto!

Kwaterował w suterenie, w stróżówce dozorczyni. Było tam stare łóżko, sczerniały stół z niemalowanych popękanych desek, dwa odrapane taborety i żelazny piecyk na trociny, buchający jeszcze gorącem.

W tym piecyku rozpaliła dzisiaj rano dozorczyni. Właśnie kiedy skończyła rozpalać, wkroczyli Rosjanie i wtedy zostawiła na dole wszystko, przenosząc się na pierwsze piętro, do pięknego dużego mieszkania po folksdojczu Kriegerze.

— Najpierw ziemy kolację! — zakomenderował m ó j i trzepnął mnie wierzchem dłoni w brzuch. — Aż widać, jaki jesteś głodny.

Na piecyku stała blaszanka. Szedł z niej ostry, znakomity zapach tuszonki.

Faktycznie byłem głodny i zacząłem sobie przypominać, kiedy ostatni raz jadłem mięso. No tak, w zeszłym tygodniu przynieśliśmy z dziadkiem pełne wiaderko rosołu, w którym rzeźnik gotował kaszanki, salceson i kiełbasy, i trzeba przyznać, że trafiło mi się kilka tłustych kawałków...

— No, gadał wreszcie, jak się nazywasz! — odezwał się m ó j i podsunął mi grubą pajdę razowego chleba.

Siedziałem na brzeżku odrapanego taboreta i nagle zdałem sobie sprawę, że m ó j mówi całkiem zrozumiale po polsku i jeszcze ani razu nie zaklął. Nabrałem śmiałości. Zawsze się bałem, kiedy dorośli zaczynali przy mnie kląć.

— Siedzisz jak trusia, bo pewnie wołają na ciebie „Kajtek", co?

Znowu mnie zatkało z wrażenia. Skąd on mógł znać moje przezwisko?

— Tak, panie kapitanie — powiedziałem oszołomiony, a on aż się zaniósł czystym, zdrowym śmiechem.

— Ho, ho, bracie, do kapitana mi daleko! Najlepiej mów do mnie: wujku. U nas wszyscy chłopcy mówią tak do dorosłych.

Pilnowałem się, żeby nie jeść łapczywie. Ale aż mnie paliło do tego pistoletu. Jak będzie późno, to może on się rozmyśli...

— Ja mam, bracie, w domu syna — m ó j mówił teraz ciszej. — Pewnie, że nie taki wielkolud, jak ty. Urodził się już na początku wojny. Ale w tej chwili mówi i po rosyjsku i po polsku. Polskiego uczy go babcia. Bo trzeba ci wiedzieć, że babcia jest rodowitą Polką. A w ogóle w naszym mieście mieszkało wielu Polaków. Eh, co tam...

Wytarłem ostatnim kawałkiem chleba menażkę i jak przykazywała babka, powiedziałem „dziękuję". Mój też odstawił swoją blaszankę.

— Twoja kolej — powiedział — gadaj teraz o sobie.

— Od października panna Stefka uczy mnie czytać i pisać — wypaliłem jednym tchem.

— O, to jesteś już chyba wielki mądrala! Przeczytałeś do tej pory jaką książkę?

— E, nie, tylko książeczkę do nabożeństwa.

— Bądź co bądź, też książka...

Podniósł się ze starego łóżka, aż zaskrzypiało jękliwie i podszedł do płaszcza. Pomyślałem, że nareszcie pokaże ten pistolet, a on wyjął paczkę listów, poszperał w nich szybko i podał mi duże zdjęcie małego dzieciaka.

— To mój synek — powiedział. — W domu też na niego mówią „Kajtek". Na tym zdjęciu ma dopiero dwa lata. No jak, podoba ci się?

— Aha! — przytaknąłem niezdecydowanie, bo w słabym świetle karbidówki trudno było mi ustalić, czy mi się dzieciak podoba, czy nie.

— Tak też myślałem. Szkoda, że mieszkacie tak daleko od siebie. No, ale zmiataj do domu. Pewnie się tam o ciebie niepokoją.

Myślałem, że ryknę płaczem jak zasmarkany trzylatek. Na szczęście mój przypomniał sobie o pistolecie.

— Poczekaj — powiedział, choć jeszcze nie ruszyłem się z miejsca.

Pas z kaburą wisiał koło płaszcza. Ale pistolet miał tuż obok siebie, na łóżku pod siennikiem. Wyszarpnął magazynek i nareszcie trzymałem pistolet w ręku...

Po raz pierwszy odczułem, że moje dziecięce łóżko jest za małe. Przewracałem się z boku na bok i w żaden sposób nie mogłem usnąć. Cały czas czułem w ręku ciężką, chłodną kolbę pistoletu, a w uszach śpiewał mi czysty, zdrowy śmiech m o j e g o. Pamiętałem jego mocny, wesoły głos i pamiętałem, że ten głos zrobił się nagle twardy, kiedy powiedział w zamyśleniu:

— Już niejeden faszysta poznał ogień z tego komina.

Nie wiedziałem, co to jest „faszysta", i nie rozumiałem, jaki związek mógł mieć pistolet z kominem. Ale nie chciałem o nic pytać, żeby m ó j nie pomyślał sobie jaki ze mnie głuptas.

Kiedy wreszcie usnąłem, znowu trzymałem w ręku ciężki pistolet. Siedziałem na starej, ślepej kasztance gospodarza, do którego jeździliśmy jesienią po kartofle i ser. M ó j miał mundur ozdobiony kolorowymi paskami bibuły, pod nim tańczył rasowy, kary ogier. M ó j przynaglał mnie niecierpliwymi gestami, żebym jechał szybciej. Ale stara, ślepa kasztanka stawiała nogi ostrożnie i potykała się niezdarnie w głębokim, brudnym śniegu. M ó j przynaglał mnie rozpaczliwie, bo przecież ja miałem w ręku jego pistolet, a od lasu zbliżali się ogromni, brodaci f a s z y ś c i. Wtedy przypomniałem sobie, co trzeba nacisnąć, żeby pistolet strzelał i zacząłem celować do brodatych, ponurych postaci. Bach! bach! — po każdym strzale z brodatego faszysty zostawał kłębek dymu. Spojrzałem nagle w bok i zobaczyłem, że na deskach pod komórkami siedzi Basia spod osiemnastego i obserwuje z podziwem moją rozprawę z faszystami. Jeszcze przed chwilą dookoła był głęboki, zmarznięty śnieg, a Basia jest już w króciutkiej, kolorowej sukience, klaszcze w tłuściutkie, ubrudzone smołą dłonie i tupie drobnymi, opalonymi nogami, nie zważając, że widać jej całe majtki.

Obudził mnie lekki, ale dokuczliwy ból.

— Wstawaj, mały łobuzie — mówiła babka, szarpiąc mnie za ucho. — Dziadek tyko patrzy, żeby wziąć się za twoje śniadanie. Żarłok zrobił się z niego na stare lata, że hej!

Umyłem się pospiesznie, ale babka zapędziła mnie z powrotem do miednicy z wodą.

— Ho, ho, chcesz być brudaskiem, kawalerze! — powiedziała pogodnie.

Nie smakowała mi kartoflanka po wczorajszej tuszonce. Jednak babka nie puściła mnie od talerza, dopóki nie zjadłem wszystkiego. Jeszcze tylko sprawdziła, czy jestem dobrze pozapinany i czy założyłem ten wełniany, gryzący szalik i już wybiegłem na podwórko, mrużąc oczy przed oślepiająco roziskrzonym śniegiem.

Postanowiłem, że najpierw poszukam Edka, który chwalił się, że rosyjski żołnierz dał mu do potrzymania pepeszę, a potem pójdę do m o j e g o.

Właśnie mocowałem się z zardzewiałą zasuwą furtki w zbutwiałym, zzieleniałym płocie, a kiedy zasuwa wreszcie ustąpiła, zamarłem z przerażenia. Poranną ciszę naszej przedmiejskiej uliczki przedarły strzały. Ostre, kłujące prawdziwe strzały.

Strzały najpierw kotłowały się w pobliżu naszego domku, a potem oddaliły się i zaczęły zamierać.

Otrząsnąłem się z przerażenia i pobiegłem na drugą stronę uliczki.

Warstwa lodu dookoła studni była jeszcze grubsza niż wczoraj. Przed wejściem do stróżówki stała dozorczyni ściskając pod szyją kołnierz grubego kanarkowego szlafroka. Tuż przede mną do dozorczyni dobiegł garbaty szewc Kamionek. Za sobą słyszałem tupot jeszcze wielu nóg.

W drzwiach stróżówki leżał m ó j. W jednym ręku ściskał pistolet. Parę centymetrów od drugiej ręki ciemniało otwarte, rozsypane pudełko samosiejki.

M ó j był w samej koszuli i w pierwszej chwili pomyślałem, że musi mu być zimno na tym twardym, zmarzniętym śniegu. Ale w tym samym momencie zobaczyłem jego otwarte nieruchome oczy i żółtokrwawą miazgę, już zakrzepłą koło jego głowy.

Nie miałem siły odejść na bok. Zwymiotowałem na okazały kanarkowy szlafrok dozorczyni. A zaraz potem siły tak mnie opuściły, że upadłem na twardy zmarznięty śnieg.

— Zabierzcie stąd dziecko! — usłyszałem. — Zabierzcie dzieciaka! To nie dla niego widok!

Chełm Lub. Pomnik Braterstwa Broni.

Fot. A. Zdebiak

OBOK NAUKI

Niewygodnie na klęczkach

Bogdan Miś

NAUKA — to coś takiego, co budzi u przeciętnego człowieka zachwyt, a czasami zgrozę. Za językiem funkcji falowych, uszeregowań aminokwasów w cząsteczce białka, operatorów kwantowania, pewników wyboru kryć się muszą przecież niezwykłe, niepojmowalne tajemnice. Tajemnica zaś wywołuje co najmniej szacunek; i doskonale o tym wiedzieli uczeni poczynając od starożytnych naukowców-kapłanów...

Nauka — to przy tym coś ogromnie ważnego. Bez jej rozwijania i uprawiania nie opanowalibyśmy dziś kosmosu, ale także nie mielibyśmy doskonałych obrabiarek i detergentowych proszków do prania. Nie bez powodu mówimy, iż nauka stała się dziś jedną z bezpośrednich sił wytwórczych. Nakłady na naukę stale rosną, ekonomiści zaś twierdzą, że to w dodatku inwestycje najszybciej rentujące.

Nic przeto dziwnego, że już przed laty — a niekiedy i dziś to się zdarza — publicyści ubolewali nad zbyt małą popularnością koryfeuszy nauki wśród tzw. szerokiej publiczności. Ta publiczność wolała czytać w gazetach o tajemnicach alkowy gwiazd filmowych czy o śniadaniowym menu mistrzów sportu, niż o rewolucjonizujących świat odkryciach naukowców. Ubolewaliśmy (sam to robiłem!), że nazwisko byle osiłka jest znane powszechnie, a nazwiska największych tytanów intelektu mówią coś jedynie wąskiemu gronu specjalistów...

Tymczasem dziś jest już inaczej. Nie znaczy to, oczywiście, że owa szeroka publiczność przełączy dobrowolnie telewizor na wykład NURT-u zamiast obejrzeć mecz piłki nożnej Polska — Szwajcaria; ale i nie o to przed laty chodziło. Nawiasem mówiąc, gdyby kiedykolwiek miało się tak zdarzyć, życie — jak sądzę — straciłoby część swoich uroków.

Dzisiejszą sytuację można opisać prostym stwierdzeniem: świat nauki przestał być odizolowany od naszej codzienności. I to nie tylko w tym sensie, że uczeni bardziej się nią zaczęli interesować, lecz także w tym, że i społeczeństwo zaciekawiło się nauką. Jest to splot rezultatów zarówno oddziaływania środków masowej informacji, jak i — przede wszystkim — ogromnego wzrostu poziomu przeciętnego wykształcenia; nie o przyczyny jednakże idzie mi w tej chwili, tylko o pewne konsekwencje uboczne obecnego (w sumie arcypozytywnego przecież) obrazu sytuacji.

Otóż osiągnięcia uczonych, a także ich życie prywatne, to dziś przedmiot znacznie większego niż przed laty zainteresowania. Niektórym naukowcom jest to zresztą nieco nie w smak: uznają oni (chciałbym móc dodać tu słowo: czasami), iż otwarcie pancernych drzwi między ulicą a laboratorium jest zamachem na wolność nauki — tę najwyższą swobodę Człowieka przez największe C...

Rzecz jednak się stała. Ale obawiam się, że w zbożnym zapale zbliżania koryfeuszy do zwykłych śmiertelników zaczynamy tu i ówdzie nieco przesadzać.

Otóż bowiem zachwycamy się czasami nauką i uczonymi w sposób niezbyt rozsądny. Stwierdziwszy, że dają nam oni — a przynajmniej dać mogą — nowe, cudowne odkrycia i wynalazki, które uczynią nasze życie codzienne łatwiejszym, państwa potężniejszymi, a wiedzę o świecie — głębszą; tak więc, stwierdziwszy to wszystko uwierzyliśmy, że uczeni posiedli wiedzę absolutną. I tak słuchamy teraz, rozdziawiając gęby, fizyków mówiących o polityce, biologów udzielających nam rad w sprawach zarządzania, matematyków prawiących o moralności — że nie wspomnę o Wielkich Humanistach, którzy z reguły znają się na wszystkim.

Tymczasem uczeni są zupełnie zwykłymi ludźmi. Nawet w swojej działalności ściśle naukowej tak samo jak każdy z nas ulegają namiętnościom, a czasami nawet posuwają się w zapale poza granice dobrych obyczajów...

Tu mała dygresja w toku rozumowania. Zanim pozwolę sobie przedstawić pewne dalsze wnioski z dotychczasowych rozważań — anegdota, która zresztą podobno bywa solą felietonu...

Otóż w roku 1827 angielski botanik Robert Brown odkrył znane dziś doskonale każdemu uczniowi gimnazjum „ruchy Browna". Mikroskopijne drobinki materii ciskał on do wody i obserwując je pod mikroskopem stwierdził, iż pyłki te wykonują za każdym razem jakiś przedziwny, fantastycznie nieuporządkowany taniec. Pierwszą myślą Browna było podejrzenie, iż przyczyną owego tańca jest życie — być może, wśród drobinek były żywe mikroorganizmy? Chwycił więc uczony stary zielnik, wyciągnął zasuszony liść, roztarł go na proszek i powtórzył doświadczenie. I znów — dziwny taniec był widoczny. Może więc nawet stary liść zachował jakąś iskierkę życia?

I aby to sprawdzić, nasz botanik... popełnił przestępstwo. Odwiedził Muzeum Brytyjskie i bez ceregieli... ukradł kawałek staroegipskiej mumii, w której życia nie było już z całą pewnością. Znów roztarł go na proszek, wsypał do wody, wsadził pod mikroskop. Wszystko było jak poprzednio — i uczony mógł z czystym (?) sumieniem ogłosić o odkryciu nie znanego dotychczas zjawiska.

Do powstania innego wybitnego dzieła nauki przyczynił się zaś zwykły wyzysk, i — jak byśmy to dziś powiedzieli — nadużycie stanowiska służbowego. Chodzi o wielkie tablice logarytmiczne Johna Nepera. Patrząc na ich objętość i znając pracochłonność niezbędnych do ich zestawienia wyliczeń nie sposób nie zdziwić się: jak jeden człowiek mógł tego dokonać?

I rzeczywiście: nie mógł. John Neper był oficerem, dowódcą szkockiego pułku. Jako „pierwszy po Bogu" wprowadził był więc zwyczaj następujący: każdy oficer dyżurny, zgłaszając się u niego rano po zakończonej służbie, musiał wraz z raportem przynieść... trzy wyliczone logarytmy. Mówiąc nawiasem, nie jest to najgorszy użytek z armii — ale i postępek, który może wzbudzić pewne wątpliwości.

Kradzież, nadużycie stanowiska służbowego — czego by tu nam jeszcze brakowało? Hazardu! Ale jest i hazard: w 1654 roku dwaj oficerowie francuskiej gwardii grali w kości. Oderwani rozkazem od gry, wróciwszy do stołu po wykonaniu zadania, poczęli się kłócić, który z nich miał większe szanse wygrania przerwanej partii? Nie mogąc znaleźć rozstrzygnięcia zwrócili się do słynnego Błażeja Pascala. Ten zaczął myśleć nad problemem — i tak powstała jedna z pierwszych w świecie prac o rachunku prawdopodobieństwa, jednej z najważniejszych dziś dyscyplin matematycznych...

Tak, uczeni są zwykłymi ludźmi. A tymczasem fakt, że ktoś pisze przed swoim nazwiskiem literki „dr" czy „dr hab." staje się dziś często zupełnie wystarczającym powodem, by uznać go za przysłowiową Alfę i Omegę — we wszystkim.

Tymczasem — kimże jest dzisiaj ów Doktor Nauk? Krańcowa, ale chyba dość bliska prawdy odpowiedź na to pytanie brzmi następująco: jest to facet, który kilka lat swego życia poświęcił na badanie jakiegoś szczegółu (niechby nawet ważnego, choć tytuły niektórych rozpraw doktorskich pozwalają mieć i w tym względzie pewne wątpliwości), separując się przez ten czas od wszystkiego innego. Który zdał kilka egzaminów z bardzo wąskiego zakresu najczęściej niesłychanie trudnej dyscypliny wiedzy — i nie dał się „zagiąć" na publicznej obronie dysertacji. Który — w dobrym przypadku — jest doskonałym, bardzo wyspecjalizowanym fachowcem.

Proszę jednakże nie rozumieć tego, co powyżej napisałem, jako czegoś w rodzaju ataku na naszego Doktora. Taki jest po prostu obiektywny proces rozwoju nauki; pewien wielki matematyk zauważył nawet dowcipnie, że ów proces pogłębiania naszej wiedzy o coraz węższym zakresie specjalności doprowadzić może w końcu do tego, że będziemy wiedzieli... wszystko o niczym. To, oczywiście, żart; ale faktem jest, że specjalności stają się coraz węższe — i bardzo dobrze zresztą, bowiem inaczej nie przemoglibyśmy słynnej bariery informacyjnej, którą stawia przed nauką lawinowy wzrost liczby zdobywanych wiadomości. Tak jak jest, mamy przynajmniej szansę, że po dłuższych lub krótszych poszukiwaniach odnajdziemy potrzebnego nam kompetentnego specjalistę.

Ale dlaczego mam w pokorze słuchać jego zdania — na przykład — o polityce? Dlaczego — w kilkanaście lat później, gdy już godność profesorska ozdobi rosnące czoło — mam bezkrytycznie notować jego poglądy o sztuce czy moralności?

Nie, nie chodzi o to, by odebrać uczonemu prawo do wypowiadania się na tematy wykraczające poza jego specjalność badawczą, w której jest rzeczywistym autorytetem. Ma on do tego takie samo prawo jak każdy z nas — dziennikarz, robotnik, inżynier, urzędnik. Ale takie samo, nie: większe. I rzecz w tym, abyśmy jego wypowiedzi nie słuchali klęcząc.

Albowiem — powtarzam raz jeszcze — uczony jest takim samym człowiekiem, jak Ty i ja. My nie potrafimy pojąć i stosować subtelnych praw mechaniki kwantowej, ani wykonać przeszczepu serca — on nie potrafi wytoczyć wałka na obrabiarce, narysować domu, albo kierować traktorem. Każdy z nas ma prawo mówić o wszystkim i o wszystkim mieć swój sąd. Co więcej, w wielu przypadkach mamy taki obowiązek, moralny i społeczny.

Ale nie słuchajmy się nawzajem klęcząc. Nikt z nas nie ma patentu na nieomylność, bez względu na stopnie naukowe, tytuły i różne tam takie. Zaś słuchanie na klęczkach jest piekielnie niewygodne i — co należy uznać bez wątpienia za zadziwiający paradoks anatomiczny — szkodzi głowie.

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA (12)

DOPIERO u tego plantatora kokosów w Puenta de Gado nauczyłem się rozbijać kokosy. Wieczorem na ustroniu rozpaliłem ognisko i tak pierwszą noc spędziłem pod gołym niebem w Hondurasie. Żywność, którą miałem w plecaku, zaczęła cuchnąć i musiałem ją wyrzucić. Koło południa dotarłem do jakiegoś miasteczka, w którym był hotel.

Nazajutrz rano jechałem autobusem „wygodnie" do Tegucigalpy. Był to rodzaj starego rozklekotanego brudnego pudła, w którym zamiast wygodnych siedzeń były brudne drewniane ławki.

W Tegucigalpie zabawiłem cztery dni, szukając owego rodaka. Wreszcie udało mi się natrafić na jego ślad i na tym się skończyło. Dowiedziałem się, że Polak już dwa lata temu wyjechał z tego kraju na stałe. Dokąd? Tego ludzie nie wiedzieli.

Jeszcze tego samego dnia pojechałem do granicy El-Salvadoru. Coraz bardziej trasa moja zbliżała się do granicy Stanów Zjednoczonych

W pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia zjawiłem się w San Antonio. W budce telefonicznej otworzyłem książkę i po kolei zacząłem szukać nazwisk polskich; było ich tutaj bez liku. Znalazłem również telefon Domu Polskiego. Zadzwoniłem i usłyszałem tubalny męski głos. „Chciałem rozmawiać z panem prezesem" — powiedziałem po polsku. „A kto mówi?" „Polak, który poszukuje pomocy u swoich" — odparłem. „Skąd pan dzwoni?" „Chwileczkę..." Wyszedłem na ulicę i spytałem pierwszego lepszego przechodnia o nazwę tej ulicy, podałem ją, kazano mi czekać przy budce.

Po jakimś czasie zjawiło się dwóch mężczyzn, którzy zaparkowali samochód po przeciwnej stronie ulicy, podeszli do budki i zaczęli się rozglądać na wszystkie strony. „Panowie, chyba mnie szukacie?" — zaczepiłem ich po polsku. „No, pan w tym ubiorze wcale nie jest podobny do Polaka" — odparł starszy mężczyzna.

Siedziałem teraz za stołem, który sowicie był zastawiony i wspólnie z innymi gasiłem głód i pragnienie.

Później zebrała się spora gromadka Polaków, którym opowiedziałem w skrótach cały swój życiorys. I tak jak poprzednio w Cleveland, tak i tutaj Polacy udzielili mi dużej pomocy. Otrzymałem nie tylko pieniądze, lecz i odzież i miejsce do spania. Po świętach jeden z Polaków miał mnie zatrudnić u siebie. Ludzie byli życzliwi, postanowiłem więc tutaj pozostać. Jednakże los chciał inaczej. Zaraz po świętach zostałem aresztowany przez oficerów imigracyjnych. W więzieniu w San Antonio spędziłem tydzień, później odwieziono mnie do granicy meksykańskiej i nakazano udać się z powrotem, skąd przybyłem.

Nie miałem wyboru, złamany na duchu ruszyłem w głąb Meksyku.

Z miasta Pueblo pojechałem do stanu Sonora, a stamtąd zamierzałem udać się do Bojo California, a następnie do San Francisco. Jednakże w drodze plany moje się pokrzyżowały i na dłuższy czas pozostałem w Navojoa Sonora. Tutaj, w Navojoa, poznałem pewnego Amerykanina który zaoferował mi pracę w swojej kopalni złota.

Tak więc jeszcze tego wieczoru, w którym poznałem swego przyszłego pracodawcę, zostałem przez niego zaprowadzony do domu zamożnego Meksykanina seniora Loybasa i tam przedstawiony całej rodzinie. Przy butelce tequili gospodarz tego domu zaproponował mi mieszkanie u siebie w domu, na co chętnie przystałem, ponieważ jedna z jego trzech córek cholernie mi wpadła w oko.

Tak więc do jednej (na imię miała Elma) zalecał się Nelson K. Hamilton, bo tak się nazywał ów Amerykanin, a ja od pierwszych chwil zacząłem zalecać się do Josefiny. Trzecia córka, Olga, pozostała na uboczu.

Meksykanin posiadał małą fabrykę obuwia.

Kiedy już dobrze zadomowiłem się u seniora Loybasa wówczas zwierzył mi się, że on jest z pochodzenia Polakiem. Że, jak był małym chłopczykiem, to jego rodzice wyjechali z Polski do Meksyku. Senior również potwierdziła opowiadanie swego męża.

Senior Loybas od tej chwili żył ze mną w przyjaźni. Nie zbywało mi na niczym z wyjątkiem kobiety. Przez dwa tygodnie, stosując różne sposoby, starałem zbliżyć się do Josefiny, ta jednak zawsze mi się wymykała, słowem bawiła się ze mną w chowanego.

Po dwóch tygodniach przyjechał Nelson K. Hamilton, który miał pilną sprawę w swoim rodzinnym mieście Foley (Alabama) i przy małej lampce tequili oznajmił mi, że jutro jedziemy do Chihuahuy do kopalni, gdzie zamierza mnie zostawić na jakiś czas i gdzie będę musiał zwerbować więcej ludzi do pracy, a także utrzymać porządek między pracownikami i w kopalni.

Przy tej rozmowie była cała rodzina, również i moja Josefina, na którą smutno spojrzałem, ona również wyglądała na zasmuconą.

Tego wieczoru zacząłem pakować niektóre swoje rzeczy. Nagle niespodziewanie wśliznęła się Josefina i wręczyła mi na łańcuszku swój wizerunek. Złapałem ją w objęcia i długo całowałem.

Nazajutrz rano pożegnałem się czule z Josefiną oraz całą rodziną i wraz z Nelsonem ruszyliśmy na lotnisko do hangaru, gdzie Nelson miał swego własnego „Pipra". Był to dwuosobowy płatowiec, zupełnie nowy. Ulokowałem się na niskim tylnym siedzeniu za Nelsonem, a ten puścił maszynę w ruch. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w powietrzu. Pogoda była ładna, więc spokojnie leciliśmy do celu przeznaczenia.

Wylądowaliśmy na płaskim wzniesieniu, gdzie na dole wiła się rzeka, a za rzeką ciągnął się sznur lepianek.

Kamena str. 12

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Zdjęcie przedstawia chłopską rodzinę Sysków z Ostrołęki w latach dwudziestych. („Zdjęcie chłopskiej rodziny tamtych czasów to zjawisko bardzo rzadkie, rzec by można wyjątkowe, dzieło raczej przypadku niż zamysłu. Moja rodzinna wieś Damięty, gniazdo rodowe Damięckich herbu Dąbrowa, typowej szlachty zagonowej, położona jest około 12 km od Ostrołęki, dziś siedziby województwa. Ojciec mój, cieśla-samouk, przybył tam z Białej Puszczy Kurpiowskiej tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej, znajdując wieloletnie źródło zarobkowania toporem i piłą. Sprawcą tego źródła były zniszczenia frontowe" — informuje nadawca zdjęcia, widoczny na nim w postaci niemowlęcia na ręku matki).

Data wykonania: 1921 rok.
Autor: ?
Nadawca: Henryk Syska, Olsztyn, ul. Staszica 19/4.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII

ROZMOWA Z WICZO IWANOWEM

Dokończenie ze str. 7

niewski. Książka ta ukaże się w wydawnictwie Związku Literatów w Bułgarii. Niezależnie od tego w obróbce redakcyjnej w wydawnictwie Wiedza i Sztuka znajduje się inna książka Wiczo Iwanowa — „Mistrzowie sceny". Jest to rzecz o aktorach bułgarskich.

Wiczo Iwanow zawsze interesował się sceną teatralną, krytyką literacką, portretowaniem. Napisał kilka monografii. Zajmuje się też tłumaczeniami.

Na sympozjum tłumaczy w Sofii zaprzyjaźnił się z Anną Kamieńską. W bułgarskiej „Współczesności" ukazały się tłumaczenia nowel Jarosława Iwaszkiewicza, które wstępem opatrzył Wiczo Iwanow. Pokazuje mi z dumą książkę Iwaszkiewicza pt. „Ogrody" z dedykacją autora: **Dla Wiczo Iwanowa z wielką serdecznością, 14.IX.1974.** Obok druga książka z dedykacją Heleny Zaworskiej.

— Wie pan, atmosfera w literaturze polskiej bardzo mi odpowiada.

— Czy nie sądzi pan, że to wynika po prostu z faktu, że pan jako jeden z bułgarskich działaczy partyzanckich znajduje w polskiej literaturze bardzo dużo odnośników?

— Być może. U nas też jest bogata twórczość na tematy partyzanckie, dotycząca okresu 1939—1945, ale barwy i soczystość tej literatury w Polsce są inne.

W czasie inwazji hitlerowskiej Wiczo Iwanow działał w bułgarskim ruchu oporu.

Później, kiedy już drugi raz spotkaliśmy się w Sofii, Wiczo Iwanow pokazał mi swoje partyzanckie dokumenty, legitymacje odznaczeń państwowych i order Zasłużonego dla Kultury Polskiej z numerem 219, przyznanym przez PRL w 1973 r.

— Zachowuję zawsze sentyment do Polski, a literatura polska żywo mnie interesuje. Jestem zadowolony, że było mi dane poznać waszą kulturę. Polska to dla mnie wielkie przeżycie i w mojej twórczości jest ona bez przerwy inspiracją. Jestem internacjonalistą z przekonań, ale zawsze też uważałem się za gorącego patriotę bułgarskiego. Muszę panu powiedzieć, że kiedy byłem w Polsce czułem się patriotą polskim. A teraz, gdy w Bułgarii spotykam Polaków, zawsze wydaje mi się, że są to moi rodacy.

Rozmawiał:
Al. Leszek Gzella

Sennik egipski

- 39 -

Szczaw — zerwanie przyjaźni
Szczeble u drabiny — korzystne propozycje
Szczenięta — niezaradność w interesach
Szczotka — kłótnia w domu
Szczury — rozkradanie, niszczenie twego mienia
Szczypior — złośliwi koledzy
Szczyty — patrz góry
Szelki — dobry humor
Szewc — wesoła zabawa z trunkami
Szkielet człowieka — zmartwienie
Szkielet zwierzęcia — nowe pomysły w interesach
Szklanki napełnione — zadowolenie, powodzenie
Szklanki rozbite — dobra wróżba
Szklanki puste — niedostatek
Szpital — wiadomość o chorobie
Szpulka — przewlekły proces
Szron — zmartwienie przejściowe
Sztandar — będziesz cenić swój honor
Sztygar — narazisz się komuś
Szubienica — obok zaszczytów — zmartwienie
Szuflada — zarobek
Szukać czegoś — zejście z prostej drogi życia
Szum słyszeć — wiadomość o nieszczęściu
Szwagier — rodzinna narada
Szyb — powodzenie w zamiarach
Szyb zalany wodą — nieszczęście
Szyba — patrz szkło
Szyć — kłopoty pieniężne
Szydło — pokonanie trudności
Szyja długa — obrotność w życiu
Szyja gruba — lenistwo
Szyfr — otrzymasz delikatne zlecenie
Szynka — zadowolenie
Szyszki — szare, codzienne życie.

Ś

Ściana — znajdziesz ochronę
Ściernisko — bezskuteczne zabiegi
Ścieżka — dobre podejście do sprawy, interesów
Ściskać coś — popełnisz gwałt, spekulacja
Ściskać człowieka — obłuda
Ślady ludzkie — znajdziesz dobrych ludzi
Ślady zwierzęce — kłopoty
Śledzie — nadużycia
Ślepym być — dowiesz się o zdradzie
Ślimaki — przewlekłe, niemiłe sprawy
Śliwki dojrzałe — zyski
Ślizgać się — popełnisz lekkomyślność
Ślub zawierać — do czegoś się zobowiążesz
Śmiech — irytacja, złość
Śmiecie — złe, niedobrane towarzystwo
Śmierć widzieć — przestroga ochrony zdrowia
Śmierć (umierać) — patrz umierać
Śmietanę zbierać — korzyści z cudzego mienia
Śmietanę pić — dobre interesy
Śnieg padający — przejściowe niedomagania
Śnieg, brnąć po nim — przeciwności losu
Śpichlerz pełny — dobrobyt
Śpichlerz pusty — zmarnowanie własnych zdolności
Śpiewać — tęsknota, smutek
Śpiew słyszeć — pogodne życie
Światło — znajdziesz cel życia, radość
Światło zapalać — dasz dobry przykład
Światło gasić — wstępujesz na złą drogę życia
Świeca — niepewne interesy
Świeca paląca się — przyjaźń na krótką metę
Świeca migająca — pogrzeb
Świergot ptaków — szczęście

Dalszy ciąg nastąpi

Zabraliśmy rzeczy, a także sporą skrzynkę z lekami. Za chwilę zjawili się ludzie, którzy znali Nelsona i oni wyręczyli nas w dźwiganiu bagaży.

Rzekę do Pueblo przeszliśmy w bród. Nelson zaprowadził mnie do obszernego domu, w którym mieszkał znajomy Nelsona, również Amerykanin. Otóż ten Amerykanin kończył tutaj już swoją pracę i wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych.

Przez cztery dni zapoznawałem się z pracą oraz ludźmi, a przede wszystkim z miejscowymi władzami. Na piąty dzień Amerykanie odlecieli, a ja zabrałem się do pracy.

Wyobrażałem sobie tę kopalnię pod ziemią, tymczasem zdziwiłem się, kiedy Nelson pokazał mi płuczki napędzane silnikiem oraz pompę na wodę. Płuczka ta miała cztery talerze, a nad każdym z nich była coraz to — patrząc od środka — rzadsza siatka.

Transport tego piasku odbywał się w sposób następujący: dwanaście osłów dźwigało piasek od pobliskiej góry w skórzanych workach, kilku pracowników stało i z worków wysypywało piasek, następnych dwóch wolno, łopata za łopatą, z kolei wysypywało ten piasek na siatkę. Nad tą siatką przechodziła rurka, z której tryskała woda na piasek, płuczkarka miała ruchy pół obrotowe. Moim obowiązkiem było czuwać i bacznie spoglądać na górną siatkę, na którą pracownicy sypali piach. Otóż tam może pod ciśnieniem wody błysnąć „nuget", moim obowiązkiem było zabezpieczyć go natychmiast. Drobne złoto spadało na dolny talerz. Codziennie po pracy otwierałem go specjalnym kluczem i gąbką zbierałem złoty pył.

Do swojej dyspozycji miałem dwa dobre konie oraz broń i kilka paczek amunicji. Tutejsi mieszkańcy trudnili się również płukaniem złota, czynili to jednak w sposób prymitywny.

Tak upłynął monotonnie miesiąc i drugi. Nelson się nie zjawiał, a paliwo już mi się skończyło, ludzie nie chcieli już pracować i rozeszli się po domach. Myślałem puścić się konno przez góry, lecz odradzono mi twierdząc, że to droga nie do przebycia.

Dopiero w połowie kwietnia usłyszałem z dala długo oczekiwany warkot silnika. Nelson przyjechał sam, przywożąc ropę i naftę. Przez kilka dni woził paliwo, które było najważniejsze, a następne dni produkty żywnościowe. Nelson przywiózł mi również list od Josefiny, który najwięcej mnie ucieszył. Josefina tęskniła za mną i oczekiwała mego powrotu. Nelson obejrzał moją pracę i z zadowoleniem kiwał głową. Złoto z sejfu zabrał ze sobą i odleciał.

Pozostałem znów sam z grupką życzliwych Indian.

Pod koniec maja 1960 r. płuczkarka stanęła: nawalił silnik, a zapasowego nie miałem. Pozostało mi tylko czekać na przyjazd Nelsona. Pewnego dnia zauważyłem jeźdźców na koniach, którzy wyjechali spośród skał, którędy płynęła rzeka. Miejsce to uważałem za nie do przebycia, a jednak ci ludzie w jakiś sposób przejechali. Postanowiłem udać się na koniu ich śladami. Za skałami wyjechałem na małą plażę i tutaj ku memu zdziwieniu zauważyłem ścieżkę prowadzącą w prawo pomiędzy skałami. Ruszyłem nią, wyprowadziła mnie na równinę. Zatrzymałem konia i zacząłem się zastanawiać, dlaczego ludzie twierdzili, że z tego miejsca nie ma wyjazdu? Co im na tym zależało? Nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Po powrocie do domu spakowałem złoto w specjalne woreczki. Zdemontowałem silnik, zabrałem pieniądze oraz wszystkie swoje dokumenty, wziąłem trochę żywności, a swojej gospodyni powiedziałem, że wyjeżdżam na kilka dni w dół rzeki na polowanie.

Po kilku dniach podróży zjawiłem się w Navojoa w domu Nelsona. Obudziłem wszystkich mieszkańców domu. Nelson spał w najlepsze.

Kiedy porządnie wypocząłem po podróży, słońce było już wysoko. Chciałem udać się do swojej Josefiny, lecz Nelson mnie nie puścił twierdząc, że trzeba podskoczyć do sklepu i się odpowiednio ubrać. Kupiliśmy też skrzynkę dobrej wódki, z nią i z prezentami dla Josefiny zjawiliśmy się w domu Loybasa. Serce mi łomotało, gdy wpadłem do domu lecz zastałem tutaj tylko senior; córki i senior Loybas byli w fabryczce obuwia.

Gdy już wszyscy byliśmy razem, zaczęliśmy prawdziwą libację. Po libacji udałem się z Nelsonem do jego domu, tutaj ustaliliśmy, co dalej czynić. Nelson nazajutrz miał jechać do Stanów i przywieźć nowy silnik. Ja natomiast miałem się zająć zakupami, które spisaliśmy na kartce. Mój pobyt w Navojoa miał trwać jeszcze pięć dni, a później końmi chciałem wyruszyć tą samą drogą, którą przybyłem. Nelson wypłacił mi za moją dotychczasową pracę 1200 dolarów. Ja miałem swoich 400 dolarów a ze sprzedaży złota [illegible]ymałem 512 dolarów, tak więc miałem niebagateln[illegible] sumkę 2112 dolary.

Niespodziewanie otrzymałem zawiadomienie, abym się zgłosił na posterunek policji. Tutaj szef dokładnie obejrzał moje dokumenty i po krótkim przesłuchaniu oświadczył, że daje mi 48 godzin na opuszczenie Meksyku. Dodał, ażebym nie próbował ukrywać się w kopalni.

Tak więc mój okres pobytu w tym kraju się kończył. Po drodze wstąpiłem z tego wszystkiego do knajpy, gdzie przez kilka godzin rozważałem przy kieliszku, co dalej czynić dokąd teraz się udać.

Wieczorem, kiedy siedzieliśmy wszyscy przy jednym stole u seniora Loybasa, ten powiedział, w czym tkwi sęk. Otóż syn tego szefa policji zalecał się do Josefiny a ta z kolei odpychała go i to chyba spowodowało, że dostałem nakaz opuszczenia terytorium Meksyku.

Jeszcze w tym dniu przekroczyłem granicę i znów znalazłem się w USA. Postanowiłem udać się do San Francisco.

Dokończenie nastąpi

kultura 1975

WSPÓŁISTNIENIE

● Podczas gdy kosmonauci radzieccy i amerykańscy będą razem szybowali w kosmosie, na ziemi też dojdzie do dalszej współpracy. Jak już pisaliśmy, od kwietnia przebywa w USA zespół baletowy moskiewskiego Teatru Wielkiego. Teraz zaś na dłuższe tournée wyjechał tam zespół operowy tej placówki wraz z orkiestrą i chórem. Mieszkańcy Nowego Jorku, Waszyngtonu i innych dużych miast usłyszą i zobaczą „Borysa Godunowa", „Eugeniusza Oniegina", „Damę pikową" oraz „Wojnę i pokój".

SKARBY ZIEMI

● Ziemia kryje jeszcze bardzo wiele tajemnic. Ich odkrywaniem zajmują się m. in. archeolodzy. Znane są wyniki prac ekipy prof. Michałowskiego, natomiast mało kto wiedział dotychczas, że od 8 lat także w dolinie Nilu pracują archeolorzy z Gdańska przy konserwacji i rekonstrukcji słynnej świątyni królowej Hatszepsut. Cały zespół budowli zajmuje około 5 ha i trzeba będzie jeszcze pięciu lat pracy, aby zakonserwować całość.

● Nowe perspektywy dla polskich archeologów rysują się także w Peru. Ostatnio przebywał w Warszawie profesor uniwersytetu w Limie, dr Federico Kauffmann-Doig. Powiedział on, że Peru posiada zaledwie 12 wykształconych archeologów, podczas gdy w tym kraju dosłownie w każdym miejscu można odkopać skarby archeologiczne. Mówiąc o znakomitych wynikach naszych archeologów w różnych krajach, dodał: „Otwiera się przed nimi szerokie pole do popisu w moim kraju. Z drugiej strony uważam, że nasi młodzi adepci archeologii mogliby wiele skorzystać, przyjeżdżając na staże naukowe do Polski". Wykorzystajmy tę szansę.

WERYFIKACJA

● Równo 95 lat po śmierci pisarza paryska Biblioteka Narodowa w wyniku osobistej interwecji prezydenta Francji nabyła za 450 tys. franków rękopis „Szkoły uczuć" Gustawa Flauberta. Manuskrypt zakupiono od wdowy po znanym aktorze i pisarzu — Sachy Guitry. Są to luźne kartki przechowywane w sześciu pudełkach i stanowią ostatnią, poprawioną przez autora wersję powieści. I dopiero teraz będzie można zweryfikować, czy publikowany dotychczas tekst jest rzeczywiście zgodny z tym, co ostatecznie napisał autor.

KAPELE I ORKIESTRY

● Mimo nie najlepszej pogody trzynasty (odpukać) Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu wyróżniał się wysokim poziomem. W najważniejszej konkurencji — kapel — pierwsze miejsce zdobyła kapela z Nowej Soli w woj. zamojskim, dwa drugie miejsca kapele z Jarocina (woj. kaliskie) i ze Zdziłowic (woj. tarnobrzeskie). Nagrody dla solistów jury rozdzieliło: I — Stefania Godzińska ze Zdziłowic, II — Zofia Danieluk z Krzczonowa (woj. lubelskie), III — Teresa Bednarz z Poniatowej (woj. lubelskie) i Józefa Graszka z Raduczy (woj. piotrkowskie). Z instrumentalistów pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, II zdobył cymbalista Józef Młynek z Rakszawy (woj. rzeszowskie), III — skrzypek Jan Wrona z Poniatowej, a wśród wyróżnionych znaleźli się grający na fujarce Władysław Drzewosz z Łubczy w woj. zamojskim oraz zespół śpiewaczek z Drelowa (woj. bialskopodlaskie). Wszystkim serdecznie gratulujemy.

● Orkiestry dęte są najczęściej związane z ochotniczymi strażami pożarnymi. Są to rzeczywiście zespoły amatorskie, których rola w życiu kulturalnym środowisk wciąż nie jest doceniana. Ostatnio w Koszalinie zakończył się ogólnopolski festiwal tego typu orkiestr, poprzedzony kilkustopniowymi eliminacjami. Pierwszą nagrodę zdobyła orkiestra ze Stoczka Łukowskiego pod batutą Antoniego Próchniewicza, istniejąca zaledwie trzy lata. Drugą — zespół z Nałęczowa — Zdroju, prowadzony przez kapelmistrza Józefa Gierczaka. Dla odmiany ta orkiestra istnieje już 43 lata.

STUDIA I KONKURSY

● Właśnie mija setna rocznica powstania Akademii Muzycznej im. Franciszka Liszta w Budapeszcie, której pierwszym prezesem był właśnie ten wspaniały kompozytor i muzyk. W uczelni tej istnieje oryginalny system studiów. Oto szczególnie zdolna młodzież studiuje tam dziesięć lat, rozpoczynając naukę jeszcze przed zdaniem matury. Po jej zdobyciu uzyskuje ona immatrykulację i studiuje dalej razem z tymi, którzy po maturze dopiero teraz zdali egzamin wstępny. Po sześciu latach zdobywa się dyplom, upoważniający do nauczania muzyki w szkołach średnich lub grania w orkiestrze, po dalszych dwóch latach dyplom artysty, najzdolniejsi mają przed sobą jeszcze dwa lata studiów.

● Henryk Neuhaus, profesor Konserwatorium Moskiewskiego, w dyskusji opublikowanej przez „Litieraturnuju Gazietu" tak wyraził swój pogląd na konkursy muzyczne: „Udział w konkursach jest absolutną domeną młodzieży. Jeśli laureat jest nie tylko uzdolniony, ale i mądry, to wszystko w porządku, jeśli jednak dojdzie do wniosku, że posiadł najwyższe wtajemniczenie, wcześniej czy później przepadnie".

OPINIE

● Zygmunt Greń („Życie Literackie" nr 26) w artykule o sezonie Teatru Narodów w Warszawie: „Myślę, że konfrontacja warszawska pozwoli wielu artystom otrząsnąć się zarówno z kompleksów, jak z pychy. Byłaby to jej największa zasługa. Z kompleksów, że nasz teatr nie dorasta do jakiegoś idealnego poziomu europejskiego: co nie jest prawdą. Lecz także z pychy, że w czymś tam jesteśmy lepsi, że nasze przedstawienia są głębsze, lub piękniejsze, lub ciekawsze myślowo albo formalnie. Jesteśmy po prostu, jak wszyscy goście warszawskiego spotkania, nieporównywalni. Bariery wznosi nie tylko język, ale tradycja historyczna, doświadczenie artystyczne, współczesna rzeczywistość".

● Jerzy Waldorff („Polityka" nr 26) w recenzji z opery Pendereckiego „Diabły z Loudun": „W prapremierowym przedstawieniu w Hamburgu publika oglądała kanonika najpierw uwodzącego młodą kobietę w konfesjonale, potem — nago! — siedzącego z nią w wannie... W następnej, po trzech dniach, a więc 23 czerwca 1969 r. danej premierze w Stuttgarcie, do roli mniszek zaangażowano — strip-teaserki, które zdzierały habity i na golasa harcowały po scenie... Nic takiego nie dostrzeżono w warszawskim Teatrze Wielkim". Mistrz dalej twierdzi, że wystawienie tej opery w Warszawie w stylu porno było niemożliwe, ale nie wyjaśnia, dlaczego. A szkoda.

POETA I PARK

● Rzecz wydarzyła się dawno: 16 stycznia 1778 roku do lodowatej rzeki Ilm w Weimarze rzuciła się dama dworu Christiane von Lassberg. Powód — zawód miłosny. Dama jednak nie utonęła, wyratował ją bowiem służący Goethego, który za gorsem niedoszłej samobójczyni znalazł egzemplarz „Cierpień młodego Wertera". Wzruszony tym poeta najpierw postawił nad rzeką pamiątkową tablicę, następnie zaś dzięki jego staraniom powstał tam piękny park, w którym sam sadził drzewa. Z okazji tysiąclecia Weimaru mieszkańcy zasadzili tam teraz tysiąc nowych drzew.

NAGRODA

● 70-letni pisarz kubański Alejo Carpentier jest attache kulturalnym ambasady Kuby we Francji. Ostatnio otrzymał nagrodę w poważnym konkursie w Paryżu i to jednogłośnym orzeczeniem 13-osobowego jury. Nagrodę w wysokości 150 tys. franków pisarz przekazał do dyspozycji Komunistycznej Partii Kuby. Obecnie Carpentier pisze powieść o ludziach różnych narodowości, którzy walczyli z faszyzmem i imperializmem od wojny domowej w Hiszpanii aż po obronę plaży kubańskiej Giron w kwietniu 1961 r. przed inwazją kontrrewolucjonistów, wysłanych z USA.

TO JUŻ KONIEC

● W niedzielę, 13 lipca zakończy się w Warszawie trwająca od roku „Panorama XXX-lecia" — impreza, w której ramach poszczególne województwa (według dawnego podziału) prezentowały swój dorobek kulturalny. Rozpoczęło, jak pamiętamy, województwo lubelskie, na końcu zaprezentowała się Ziemia Lubuska. Początkowe zainteresowanie „Panoramą" z upływem czasu poczęło słabnąć, po prostu impreza trwała zbyt długo. Największą korzyść odnieśli chyba działacze kulturalni, którzy mogli porównać dorobek swego rejonu z dorobkiem innych, co powinno zaowocować w ich dalszej pracy.

DLA ZNAWCÓW

● Reprinty to nazwa książek, reprodukowanych z oryginałów przy pomocy techniki fotoofsetowej. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe rozpoczęły w roku ubiegłym, jubileuszowym roku drukarstwa polskiego, wydawanie takich reprintów dzieł, mających trwałą pozycję w dorobku kulturalnym naszego narodu. Obecnie rozpoczęto edycję monumentalnego, 16-tomowego „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich", wydanego po raz pierwszy na przełomie wieków XIX i XX pod redakcją Bolesława Chlebowskiego. Do dzisiaj nie stracił on swojej pomnikowej wartości. W planach widnieją najcenniejsze pozycje m. in. J. S. Bandtkiego, M. Bielskiego, Al. Brucknera, J. S. Bystronia, A. Naruszewicza, S. Konarskiego i innych.

ekran i widz

Kino w Kazimierzu

MAŁO kto dzisiaj zagląda w Kazimierzu na ulicę Puławską. Dawna arteria miejska wiodąca z Rynku, pod murem kościoła farnego, w kierunku Puław, spadła do roli podrzędnej uliczki. Jezdnia usiana wybojami, do stromej skarpy tulą się nieliczne, coraz bardziej zrujnowane domki, opustoszałe parcele porasta dziki bez i caprifolium. Drzewa i krzaki po obu stronach jezdni tak się rozrosły, że chwilami idzie się mrocznym, zielonym tunelem.

Mniej więcej w połowie ulicy Puławskiej, w głębi jednego z podwórek, dostrzec można wysoką, murowaną z kamienia wapiennego ścianę, wrośniętą w zbocze zamkowego wzgórza. Tyle zostało ze słynnej w międzywojennym Kazimierzu budowli, należącej do Lucjana Pałczyńskiego, a spełniającej w owych czasach rolę kina, teatru, sali dancingowej, domu kultury, innymi słowy miejsca spotkań kazimierskiego społeczeństwa.

Luksusów tam nie było: wielka drewniana sala ze sceną, trochę krzeseł i ławek. Kilka razy w miesiącu pojawiał się w Kazimierzu prywatny przedsiębiorca z aparatem kinematograficznym, w sali Pałczyńskiego rozpinano ekran, ludzie cisnęli się do wejścia, aby zobaczyć kolejne przygody Charlie Chaplina, Douglasa Fairbanksa, obejrzeć słodką twarzyczkę Mary Pickford.

W 1935 r. w sali Pałczyńskiego wybuchł pożar. Wysuszone drewno paliło się błyskawicznie, nie pomagały wysiłki straży pożarnej. Ogień widać było w całej okolicy, z tarasu budynku skakali zaskoczeni przez pożar ludzie, było kilka przypadków połamania nóg, ciężkich poparzeń. Tak przynajmniej twierdzą naoczni świadkowie.

Od czasu „wielkiego pożaru" skończyło się kino w Kazimierzu. Kogo interesowały przygody rozgrywające się na srebrnym ekranie, ten jeździł do Puław, gdzie było kino stałe. Na własne stałe kino miał czekać Kazimierz jeszcze prawie dwadzieścia lat...

Po latach przerwy zawitało do Kazimierza kino objazdowe wraz z wojskiem, w 1944 r. Wtedy to, na ekranie rozpiętym na murze apteki w Rynku, wyświetlano kroniki wojenne nakręcone przez Czołówkę Filmową. Później przysposobiono prowizoryczną salę kinową. Mieściła się ona w budynku klasztornym, na parterze, tam gdzie dzisiaj znajduje się stolarnia. Z kolei kino objazdowe zatrzymywało się w szkole zawodowej przy ul. Nadwiślańskiej, na koniec — w sali kamieniczki Pod Krzysztofem.

Pierwsze w historii Kazimierza Dolnego stałe kino otwarto w 1953 r. w odrestaurowanym według projektu Karola Sicińskiego budynku XVIII-wiecznej bożnicy, i nadano mu nazwę „Wisła". Pierwszym kierownikiem kina został Leon Doraczyński, a pierwszym wyświetlonym tutaj filmem był „Wilhelm Tell".

— A skąd wiesz, że właśnie „Wilhelm Tell"? — zapytałem obecnego kierownika, Józefa Miłosza.

— Bo byłem na nim — odparł po prostu.

Tak. W życiu małego miasteczka otwarcie stałego kina to było w owych czasach wielkie wydarzenie, a już szczególnie dla młodego chłopaka, który był ciekaw świata.

Kto spośród osób związanych z Kazimierzem nie zna Józia Miłosza? Od ćwierć wieku na Rynku, w kawiarni, na plaży, pojawia się kilka razy dziennie: niewysoki, krępy blondyn o błękitnych oczach i przyjaznym uśmiechu. Ci, którzy mogli go poznać bliżej, wiedzą, że jest uczynny i koleżeński, inni znają go jako człowieka pomysłowego, o dużych zdolnościach organizacyjnych i pasji społecznikowskiej. Jest wreszcie Józef Miłosz jedynym bodaj w Kazimierzu człowiekiem, który tę samą, kierowniczą funkcję sprawuje (bez zarzutu!), od czternastu lat.

Józio pojawił się w Kazimierzu w 1945 roku. Bardzo wcześnie w dwunastym roku życia, zaczął w sezonie letnim pracować na plaży miejskiej. Z plażą, z rekreacją, był związany przez dwadzieścia lat. Przeszedł wszystkie stopnie „wtajemniczenia": od chłopca do wszystkiego, po kierownika plaży. Kto zna Kazimierz z wczesnych lat sześćdziesiątych, niech sobie przypomni świetnie zorganizowaną plażę wyposażoną w kosze i kajaki, a przede wszystkim — owe spacery motorówkami, „pychówkami", wielkimi „batami" po Wiśle, o których dzisiaj ani słychu ani widu. To był okres, kiedy Józio „trzymał plażę".

Już jako uczeń dziesiątej klasy został radnym MRN i następnie przez wiele lat pełnił tę funkcję. To on przekształcił miejscowe Koło w Oddział PTTK i został na kilka lat jego kierownikiem, stał na czele grupki ludzi, którzy doprowadzili do zbudowania w Kazimierzu stoku i wyciągu narciarskiego. W 1961 roku Miłosz został kierownikiem kina „Wisła".

Od 15 czerwca do końca września — w pełni sezonu — kino pracuje bez dni wolnych, dając dziennie trzy, a czasem nawet cztery seanse, bo liczba miejsc niewielka, a chętnych wielu. Szkoda tylko, że minęły czasy, kiedy w Kazimierzu można było oglądać filmy zeroekranowe, co podnosiło jeszcze atrakcyjność wczasowego miasteczka.

Józio nie dorobił się, jak dotąd, samochodu, zebrał natomiast małą kolekcję obrazów o tematyce kazimierskiej. Ozdobą kolekcji są dzieła Zenona Kononowicza i Feliksa Topolskiego, a obejrzeć je można zawsze bez trudu w gabinecie kierownika.

I tym właśnie, „malarskim" akcentem chciałbym zakończyć niniejszy, nietypowy — bo wakacyjny — felieton filmowy.

md

noty i notki

Rano 2 lipca. „Sztandar Ludu" doniósł, że w bagienku pod Milejowem osiedliła się para łabędzi niemych, która dochowała się już sześciorga łabędziątek. Pismo twierdzi, że miejscowi myśliwy otoczyli łabędzie troskliwą opieką, a ponadto apeluje do rybaków aby powstrzymywali się od łowienia ryb w tym bagienku. I słusznie. Natomiast kilka godzin później „Kurier Lubelski" doniósł, że nie kto inny jak właśnie myśliwi i rybacy w stawach koło Rejowca urządzili krwawą rzeź czapli siwych. I to w okresie lęgów, wskutek czego wiele młodych piskląt jeszcze wyginie „w sposób naturalny". Co na to władze łowieckie i wędkarskie?

Sklep spożywczy na rogu ulic R. Luksemburg i Junoszy w Lublinie, godzina 9 rano (z dokładnością do 5 minut) w sobotę 28 czerwca, poniedziałek 30 czerwca i wtorek 1 lipca: ani kropli mleka na sprzedaż. Na uwagę, że widocznie zamówienia są zbyt małe, sprzedawczyni odpowiedziała z rozbrajającą szczerością: nie będę się męczyć, niech pan sobie poszuka gdzie indziej. Poszukałem.

Przedziwne kłopoty mają niektórzy ludzie. Np. Bernard Sztajner w „Odgłosach" (nr 26) cały felieton pod stałym tytułem „Sprawy ludzi" poświęcił — psu Hitlera. Przyznając, że „przeczytał wszystkie istniejące dane o psie Hitlera", stwierdza z żalem: „nigdzie nie znalazłem informacji, aby kogoś zagryzł, pokąsał, nawet by na kogoś jadowicie warczał". Nie wiem, czy B. Sztajner wierzy w życie pozagrobowe psów. Gdyby wierzył — usłyszałby, jak „Blondi" właśnie jadowicie warczy w zaświatach. Na niego.

Jakoś nie zdarzyło mi się dotychczas czytać artykułu czy felietonu, w którym autor przez cały prawie czas zachwalałby własną książkę. A jednak... Z. U., w ostatnim (26) numerze „Kierunków" prawie cały felieton poświęcił swojej, właśnie wydanej książce o wyścigach konnych. Ale to mało. W tym samym numerze na stronach 1, 6 i 7 Zdzisław Umiński zamieścił długi artykuł także o wyścigach konnych, wyznając skromnie, że Z. U. ze strony 10, to właśnie on ze stron 1, 6 i 7. Gratuluję dobrego samopoczucia!

JOD

Odpowiedzi redakcji

E. P. Częstochowa. Sam doznaję strachu, kiedy młody autor pisze, że po to, by zwrócić się po ocenę wiersza musiał przełamać strach. Nie jestem lekarzem analitykiem i nie wydaję oświadczeń na temat składu krwi. Jestem czytelnikiem z racji swego zajęcia w redakcji cokolwiek uważniejszym, ale jak każdy czytelnik odbieram utwór po swojemu. Kiedy mi się przypisuje moc wydania ostatecznego werdyktu, przeżywam strach chyba większy od onieśmielenia debiutanta, bo zdaję sobie sprawę, ile swa z konieczności subiektywna ocena mogę zepsuć. Jeszcze pół biedy, kiedy pytanie dotyczy tekstów już istniejących, ale kiedy mam się wypowiedzieć tak „w ogóle", „czy warto", „co by należało". Jestem wprost zdruzgotany. Więc może przy tej połowie biedy zostańmy. Otóż mam wrażenie, że Pani mimo wszystko nie kontroluje swej filozofii, swej postawy życiowej, że pozwala im Pani narastać warstwami nastrojów, dość spontanicznie i niezależnie od potrzeby samoświadomości. Czy się rozumiemy? Chodzi mi o to, że każde przeżycie dla poety powinno stać się sposobnością do jeszcze jednego, ostrzejszego spojrzenia na świat, do jeszcze jednej próby odpowiedzi na postawione pytanie, a Pani wystarczy skarga. Owszem, istnieje typ poezji, który wyczerpuje się w osobistym wyznaniu, ale mam wrażenie, że Pani przeżywając nie zabiega równocześnie o płynący stąd pożytek dla sprawności poetyckiego narzędzia. Trafia się przez to sporo określeń dość oklepanych, a już „to nie łzy / to smutek tylko deszczem / spływa po mej twarzy" jest logicznie sprzeczne, jako że łzy i smutek mówiąc o tym samym nastroju są poetyckimi synonimami.

J. T. K. Lublin. Ale właściwie nie chciałbym również dokonywać oceny wierszy. Po pierwsze — istnieją aparaty mierzące jak na złość napięcie i opór elektryczny a nie wartość wiersza, po drugie — autor na dobrą sprawę nigdy nie zgodzi się z oceną ujemną i to nawet jego święte prawo. Poza tym w miesiąc po otrzymaniu oceny najkrytyczniejszej może napisać rzecz znakomitą i jak wtedy wyglądasz recenzencie? Więc wolę rozmowę. Co bym powiedział o pańskich wierszach? Że „stronią" od poezji. Zawierają konstatacje zdecydowane, ostre, takie właśnie, jakie spotyka się u większości młodych autorów wyrabujących światu prawdę, ale nie zmuszają do czegoś w rodzaju zadumy, która mimo wszystko jest naturalną reakcją na poezję. Ma się wrażenie, że kiedy Pan zgrzytnie zębami, pokaże język, pogrozi pięścią, jest Pan usatysfakcjonowany i uważa zadanie za spełnione. Tak, tak, nie zawsze. Są frazy mówiące o czułości, o jasnym, ciepłym uczuciu. Ale i one są zagrane w sposób staccato i właśnie tym „staccatem" chyba trafiłem. Chodzi mi o to, że słowa się wzajemnie nie wspomagają, każde woli grać oddzielnie. Stąd te fragmenty mimo wszystko mają krótki oddech. Czy Pana zadowala taki sposób pisania? Taki krótki moment trzymania instrumentu? Przepraszam za nadmiar muzycznych porównań i w ogóle za metaforyczność wypowiedzi, ale chodziło Panu o zobrazowanie mojego sposobu przyjęcia tych tekstów, a nie o zdawkową odpowiedź w rodzaju „nie wykluczone, że kiedyś". Choć to też prawda.

A. P. Lublin. Na dobrą sprawę o poezji nie można rozmawiać. Można rozmawiać wokół poezji. Tym „wokół" są na przykład rady dawane młodemu poecie. Nawet rady. Często widać ile w tekście jest wyrażeń niezręcznych, niecelnych, szkodliwych i te chciałoby się autorowi wyperswadować. Cóż, kiedy on powołuje się na subiektywizm ocen podkreślany nawet w tym miejscu i w ten sposób ma broń przeciwko mnie. Kiedy mówię, że coś jest nie sproblematyzowane, powiada, że prosty był Broniewski. Kiedy mówię, że nie odkrywcze powiada, że nie z samych odkryć składają się „Dziady". Kiedy — że niejasne słyszę o Norwidzie. A równocześnie w dostarczonym tekście widać elementarny brak obycia ze słowem, czego nie dostrzega sam autor. Więc żeby rozmawiać nawet „wokół" poezji, potrzebny jest pewien stan orientacji po obu stronach, inaczej nie ma płaszczyzny dyskusji. Trudno zrozumieć dlaczego nikt bez przygotowania nie bierze się do nożyczek, by skroić ubranie, natomiast niektórzy uważają, że wystarczy znajomość alfabetu, by napisać wiersz. Tu ma pan rację. Przy okazji dziękuję za cenne uwagi o młodej prozie 1974.

M. S. Dębowa Kłoda. Nadesłane teksty świadczą o pewnej wrażliwości, ale tej nieprzydatnej dla wiersza. Dlaczego nieprzydatnej, czy wrażliwość nie jest jednym z warunków postawy poetyckiej? Owszem tak, ale ta wsparta doświadczeniem w formowaniu słów, ta wiedząca, co należy przemilczeć. Proszę mi darować — pańskie poezjowanie przypomina imieninowy wierszyk dla cioci. Ten jest zawsze dobry, no skurat przyszedł ten dzień, bo siostrzeniec pamięta, bo wreszcie jest ciastko z herbatą. Powtarzam: wierszyk. Wiersze się pisze całkiem inaczej. Jak? Podpowie Panu lektura. Podejrzewam, że w dziedzinie, w której chce Pan być twórcą, nie ma Pan nawet wystarczającego oczytania.

Krzyżówka (nr 14)

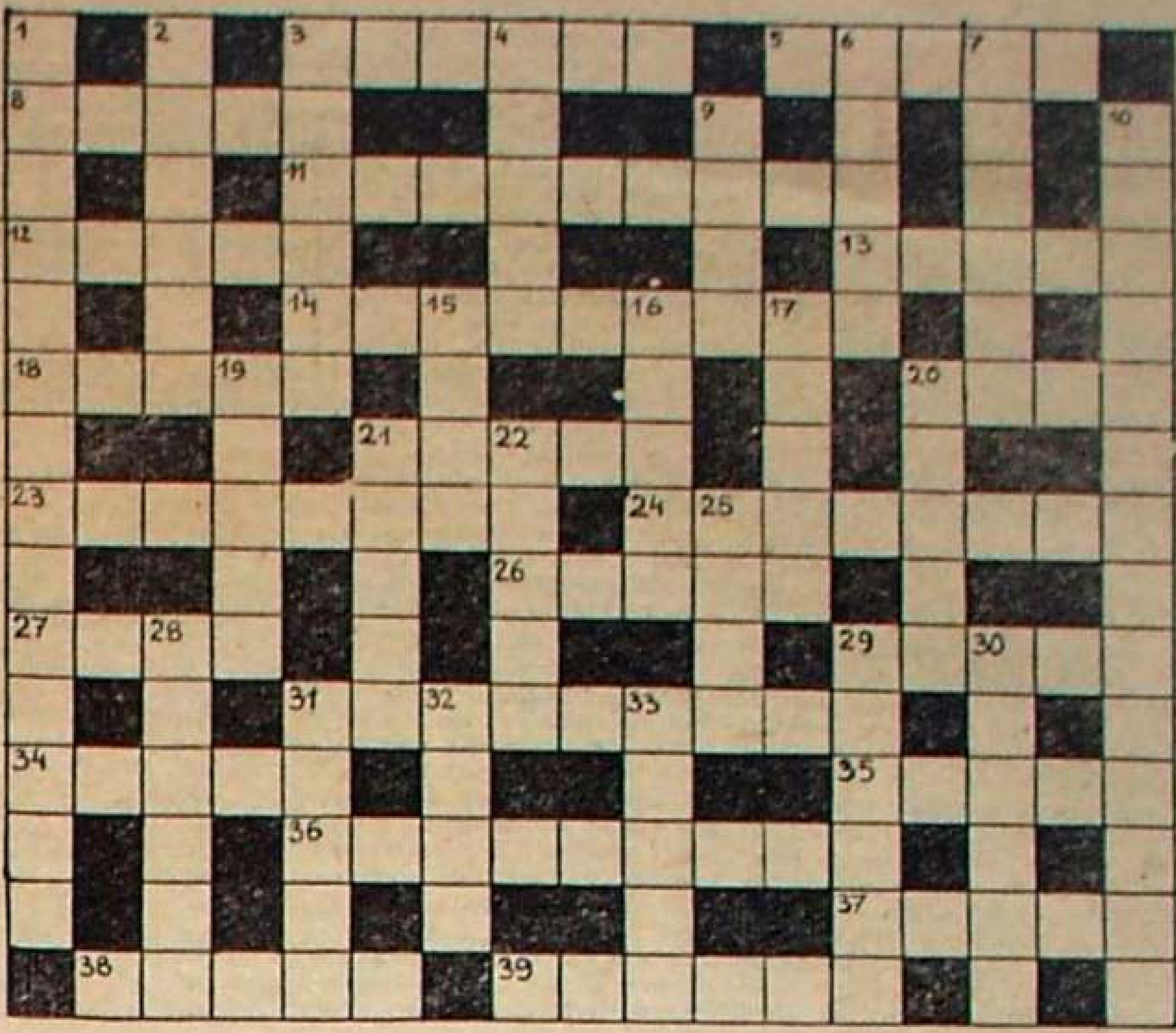

POZIOMO: 1. kąpielisko morskie nad jeziorem Jamno, 5. kwitnie tylko raz, 8. na Śląsku i w woj. lubelskim, 11. krzew orzechodajny, 12. substancja występująca w herbacie, 13. błyszcząca ozdoba na sukni balowej, 14. członek prezydium zarządu organizacji, 18. prawda, 20. przystań wodna, 21. pies myśliwski, 23. stolica europejska 24. miasto wojewódzkie w regionie nadmorskim, 26. chorągiew, sztandar, 27. miara objętości, 29. jezioro na Mazurach, 31. do nacierania smyczka, 34. przyjaciel Rafała Olbromskiego, 35. arkan, 36. ..., środek zastępczy, 37. posąg, 38. wrzątek, 39. zabawa nocy świętojańskiej.

PIONOWO: 1. zbrojne wystąpienie przeciw postępowej władzy, 2. usypisko, 3. słodki, brunatny płyn powstający przy produkcji cukru, 4. odmiana koloru niebieskiego, 6. powieść Dostojewskiego, 7. surowiec przemysłu tekstylnego, 9. Kłodzka lub Łużycka, 10. między Bizancium i Istambułem, 15. krąży w żyłach, 16. czarny owoc, smaczny po przemarznięciu, 17. na powiece i stawie, 19. tatarska niewola, 20. zajęcie, zatrudnienie, 21. przepływa przez Zaklików, 22. płaska powierzchnia, 25. z tyłu zwierzęcia, 28. mieszkaniec jednej z azjatyckich republik ZSRR, 29. republika afrykańska, 30. powieść Kraszewskiego o czasach pierwszych Piastów, 31. strona w księgowości, 32. stolica południowoamerykańska, 33. miasto nad Dnieprem w Białoruskiej SRR.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 12 było zdanie z „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego: „Oficer na pięknym koniu, w płaszczu gumowym spiętym na piersiach, w skokach konia i lansadach przejeżdżał obok tłumu szarego i rudego, który się ściskał i zbijał w jedno ciało".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 12 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Lila Kuśmierz, 22-100 Chełm, ul. Żeromskiego 1; Anna Czupryńska, 58-500 Cieplice Śl., ul. Mireckiego 4; Tadeusz Jarząbski, 15-395 Białystok, ul. Czarna 8; Wiesław Kuryło, 22-400 Zamość, ul. Słoneczna 9.

listy do kameny

OCZYŚCIĆ BYSTRZYCĘ

Ubolewamy wszyscy w Lublinie, że nasza główna rzeka, Bystrzyca, jest straszliwie zanieczyszczona, wprost cuchnie latem, a przecież jeszcze na początku lat sześćdziesiątych można się było w niej kąpać. Pora wreszcie na zastąpienie lamentów jakimś konkretnym i konsekwentnym działaniem, które zmieniłoby sytuację. Przeprowadzanie wzdłuż dzisiejszej Bystrzycy bulwarów jest bezsensowne, jako że żadna to przyjemność spacerować w smrodku. Doprawdy, rzeka płynąca przez środek miasta to skarb. Nie doceniamy go, a tymczasem w niewielkim Ełku przystąpiono właśnie do metodycznego oczyszczania tamtejszego jeziora, leżącego niemal w środku miasta, a przynajmniej blisko centrum. Wydaje mi się, że w ramach wielkiego programu zakładania parków w Lublinie należałoby też uporządkować i oczyścić Bystrzycę.

Marian Konieczko
Lublin

GDZIE JEST RADA?

Pisząc do was mam nadzieję, że list ten zostanie przeczytany przez pracowników wojewódzkiego Wydziału Kultury w Lublinie. Otóż ośmielam się przypomnieć, że kilka lat temu powołano tutaj Wojewódzką Radę Rozwoju Kultury, która zebrała się bodaj dwa razy, przyjęła program działania, a potem słuch o niej zaginął, mimo że skupiała bardzo liczne grono znakomitych osobistości z terenu województwa. Jej przewodniczącym był b. wicewojewoda lubelski, Pasternak. Ta instytucja formalnie nie została nigdy rozwiązana i niby to istnieje do dzisiaj. Rozumiem, że reforma administracji i nowy podział terytorialny kraju zdezaktualizowały niejedno z założeń Rady, ale jestem też przekonany, że sprawa wymaga uczciwego załatwienia — z podaniem do publicznej wiadomości. Nie wiem, czy między tymi faktami istnieje jakiś bezpośredni związek, niemniej chciałbym wskazać, że równolegle z zanikiem działalności Rady, wokół której było początkowo sporo szumu, zaczęło kuleć życie kulturalne w Lublinie. I do dziś kuleje.

Jerzy Kamiński
Lublin

REMONTY SZKÓŁ

Proponuję redaktorom mały spacerek po szkołach wiejskich, które bywają remontowane podczas wakacji. Proszę zwrócić uwagę na kilka elementów: jakość roboty (jest na ogół bardzo zła), tempo wykonywania prac (przeciąga się do połowy września), uboczne korzyści, które poniektórzy uczestnicy owych remontów czerpią z państwowych środków. Zapraszam w okolice Włodawy.

Jan Czernik
Włodawa

Rys. W. Fuglewicz

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1590. 25.VI.1975 r. K-8. Nr indeksu: 36460/3635

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 (uwaga nowy numer!); polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

Bez żartów

NIEKIEDY znajomi usłużnie podsuwają mi tematy. Świecie wierzą, że jeśli jakiś problem zostanie poruszony na tzw. łamach, wówczas przestanie on istnieć. To znaczy, że odpowiednie władze podejmą odpowiednie kroki. Ba!

Sądzę, że byłoby niezwykle pouczające, gdyby na przykład sięgnąć dzisiaj do roczników lubelskich gazet i czasopism z 1974 roku, zorientować się, co prasa proponowała i co z tego zostało wprowadzone w życie. Nie pomylę się, jeśli bez żadnych badań napiszę, iż niewiele... A przecież do rzadkości należą propozycje nie trzymające się ziemi. Dziennikarze należą w Polsce do największych realistów, dobrze wiedzą, jak dzielić nasz wspólny bochen chleba, który jest co prawda większy i smaczniejszy z każdym rokiem, ale jeszcze nie w pełni nas zadowala. Zresztą znana to prawda, iż apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Gdy mowa o jedzeniu, zawsze przychodzi na myśl lubelska gastronomia. Odnoszę wrażenie, że gdyby któryś z naszych dziennikarzy chciał się zająć tylko gastronomią, a redakcja udzieliłaby mu miejsca na stałe publikacje krytyczne, mógłby całkiem nieźle — mimo podwyżki marż — żyć z artykułów i notatek, poświęconych właśnie temu tematowi. Wcale nie żartuję. Oto dwa bardzo drobne przykłady.

24 czerwca, godzina siedemnasta, restauracja „Astoria". Na sali zajęte dwa stoliki. Oddychać nie bardzo jest czym, wina wentylacji. Na tarasie jeden stolik. Wystarczy przenieść krzesła i poprosić o obrus. Ale kelnerka studzi marzenia konsumentów: „Nie było zarządzenia, aby tam podawać". A czy było zarządzenie, aby w tym samym czasie na tym stoliku usiadła inna kelnerka (tak, tak na stoliku, tyłem do sali) i znudzona spoglądała na ulicę?

30 czerwca, godzina piętnasta trzydzieści, też „Astoria", ale bar szybkiej obsługi. W bufecie poza bulionem z paszteciklem nie ma już żadnej zupy. W tym czasie stoiska uginają się od truskawek. Czy na sporządzenie zupy truskawkowej potrzeba całej doby?

Drobiazgi, ale przez takie drobiazgi człowiek strzępi sobie nerwy. My, lublinianie, już do nich przywykliśmy, ale co mówią goście, którzy teraz coraz liczniej odwiedzają nasze miasto? Dyrektor Jałowiec, jeśli nie korzysta z urlopu, mógłby posłuchać. Ale dlaczego ja mam się wstydzić za niego? Ja, jako mieszkaniec Lublina?

Idźmy dalej. Nikt mnie nie przekona, że w Lublinie nie można na skalę masową produkować kwasu chlebowego. (Ile zostaje czerstwego pieczywa?). Doświadczenie naszych przyjaciół zza Bugu wskazuje, że kwas chlebowy, sprzedawany tam za drobne kopiejki, często rozwożony w specjalnych beczkowozach, cieszy się ogromnym popytem. Tyle razy ten temat poruszaliśmy! Sam mówiłem o tym prezydentowi miasta, zapisał sobie to nawet w notesie trzy lata temu. I co? Nic. Nadal jesteśmy skazani na różne „Jantary", które zamiast gasić, zaostrzają pragnienie. Tutaj dygresja: jeśli ktoś wreszcie zdecyduje się na wyrabianie kwasu, niech nie bierze receptury z Chełma. Tamtejszy kwas chlebowy nadaje się do wszystkiego, poza piciem.

Nie będę już pisał o menu lubelskich restauracji. Temat to stary, jak LZG. Ale nikt mi nie wytłumaczy, dlaczego tak mało tu inwencji. Kielce mają lokal, w którym serwuje się ukraińskie potrawy. Białystok, w którym można poznać białoruską kuchnię, a my co mamy? „Dworek Grafa" przeznaczony dla ludzi, którzy mają wolne noce i pełne portfele, ale nawet im serwuje się potrawy tylko z nazwy przypominające Budapeszt. Jeden z kelnerów powiedział mi kiedyś: to smakuje tak, jak polski bigos w Debreczynie. Nie wiem, nie jadłem, ale mam pytanie: a gdzie w Lublinie można zjeść dobry polski bigos?

Powoływaliśmy się kiedyś na przykład Słupska, tamtejszej gastronomii. Pisał też o tym „Sztandar Ludu". Jeśli dyrektorzy „Unii" mogą jeździć do Szwecji i NRD i tam podpatrywać(?), to co stoi na przeszkodzie, aby dobre doświadczenia tego miasta przenieść (łącznie z recepturami) na grunt lubelski? Za daleko do Słupska? No to do Piask bliżej.

Opowiadano mi niedawno o pewnej bufetowej. Dyrekcja w ramach rotacji kadr (oj, przydałaby się prawdziwa rotacja!) chciała ją przenieść na inne stanowisko. Zarobiłaby na nim oficjalnie około tysiąca złotych więcej. Nie chciała. Ba! Zamierzała nawet oddać sprawę do sądu(!), bo uważała, że się ją krzywdzi. A do kogo ma się zwrócić szary konsument? Do których drzwi ma zapukać, zastukać, załomotać? Które drzwi ma wywalić?

Jeszcze jedno pytanie, na które nikt nie odpowie. Bo wydaje mi się, że ludzie, którzy mogliby coś zmienić w gastronomii, jadają w domu. A jeśli już rzeczywiście odwiedzają którąś z restauracji są tam tak dobrze znani, że kierownicy i kucharze stają na głowach, aby im dogodzić. A ściślej — ruszają tymi głowami.

MAJ

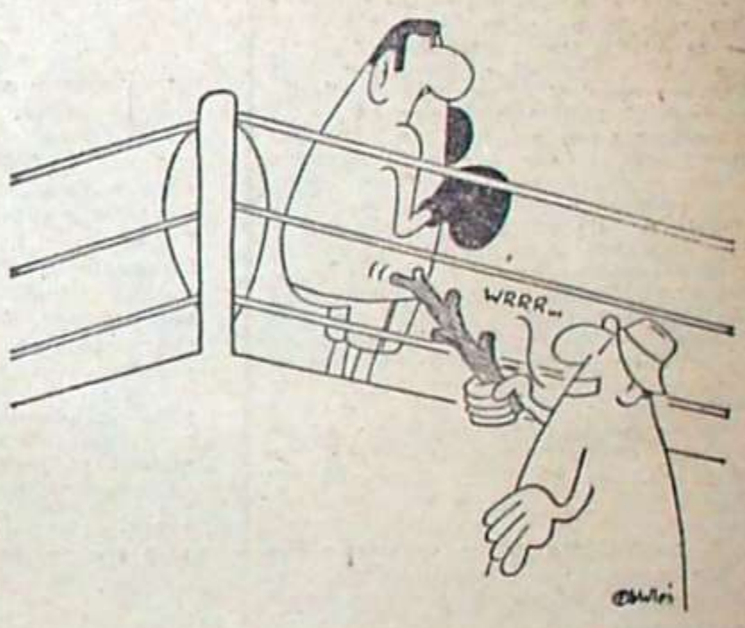

Rys. W. Fuglewicz

minuta myślenia

Protest retro

CZYTELNIK prasy nie jest dokładnie zorientowany w postawach reprezentowanych przez młodych piszących wiersze, ponieważ ma do czynienia tylko z wierszami drukowanymi. Mnie się zdarza również z niedrukowanymi, dlatego jestem o to jedno doświadczenie bogatszy.

Dlaczego przeprowadzam ten podział? Wydawałoby się, że zasługujące na druk są lepsze, a nie doszło do druku gorsze i to cała różnica — nazwijmy ją artystyczną — nie mająca związku ze zróżnicowaniem światopoglądowym. Tymczasem jest trochę inaczej. Może młody autor uważa, że kiedy do wiersza wprowadzi modne załamanie i zagubienie, a jeszcze lepiej, parę mocnych wyrazów, utwór jego łatwiej zyska aprobatę redakcji, może same redakcje ulegają psychozie i trochę rywalizują między sobą w zakresie tej „nowoczesności", w każdym razie jest faktem, że drukowana dziś poezja przypomina japoński film, na którym „podaj mi szklankę wody" mówi się z krzykiem, ze zgrzytaniem zębów i z zaciśniętymi pięściami. Drukowana. Bo niedrukowana — o dziwo — zawiera czasem inną tonację. I właśnie o niej.

Od razu zaznaczam, że mówię o wierszach na ogół słabszych, ale nie chodzi mi o wartościowanie artystyczne. Chodzi o konstatację światopoglądową.

Spotykam więc utwory, w których mówi się bardzo prostymi słowami o bardzo prostych sprawach. Bardzo łagodnymi o bardzo łagodnych. Bardzo naiwnymi o bardzo naiwnych. Ki diabeł?! Jeśli to nie oszustwo (a mam tu trochę czytelniczego doświadczenia), obraz autora takich wynurzeń zupełnie mi nie pasuje do cwaniackiego młodzieńca uformowanego wektorami współczesnej cywilizacji z jej pośpiechem, wyścigiem, walką o wysokie miejsce w hierarchii społecznej. Nie chciałbym tu zachwycać się pozostałym jeszcze w cudowny sposób do naszych dni Jankiem Muzykantem, tylko nie wiem, czy słusznie dzisiejszą młodzież określa się jako wyłącznie arywistyczną. Także nie „staję w obronie". Ale dajcie mi trafną „formułę"! Z jednej strony słyszę o stechnicyzowaniu współczesnego świata i zaniku treści humanistycznych, z drugiej widzę naiwność datowaną jeszcze stylistycznym stemplem fin de siecle'u. Czy facet poszedł na strych po stary kalendarz, żeby pozrzynać coś z Asnyka, Lenartowicza, Konopnickiej? Z pewnością nie zamierzał plagiatu, wolał być „oryginalny". Dlatego mniemam, że w postawie młodych — choćby jako protest w stylu retro — tkwi coś z tej zwyczajności, czy nawet naiwności, jakiej świadkami byli nasi dziadkowie, nasi ojcowie, my sami, jeżeli zasięg życiorysu komuś na to pozwala.

W każdym razie muszę dać wyraz swemu prywatnemu zdziwieniu. Sądziłem, że konwencja nowoczesności tak doszczętnie wymiotła wszelką możliwość powtórzenia starego obyczaju w myśleniu i pisaniu, iż pod pręgierzem śmieszności znajdą się wszelkie nutki sygnaturkowate, tymczasem nie dziadunio, nie ciotunia pisze o „płowych łanach zbóż", o „barwnych ogniach zórz", ale facet, który z pewnością po ułożeniu paru podobnych strof pędzi na dyskotekę. I wcale nie zadowoliłoby mnie rozwiązanie, że „my tylko na zewnątrz jesteśmy opancerzeni agresywnością jako formą obrony przed nacierającym światem, ale tak naprawdę to wnętrze nasze jest przepojone tęsknotą do prostych, ludzkich uczuć". Mnie to nie urządza. Chcę jasnego spojrzenia. Albo nie ma rozdźwięku między formami nowoczesnej cywilizacji a psychiką młodego pokolenia, i wtedy podobne wierszyki są niezrozumiałym, samoośmieszającym się wybrykiem, albo ten rozdźwięk jest, i wtedy „oficjalna" poezja przywdziewa maskę udając, że solidaryzuje się z tym, co ją wynaturza.

Wynaturza. Można się posłużyć terminem przyrodniczym. Przypuszczalnie znajdzie się teoretyk kultury, który współczesne zjawiska artystyczne określi jako rezultat skażenia naturalnego środowiska humanistycznego toksynami przerostów cywilizacyjnych, albo jako próbę tajnego, może nawet nie uświadomionego alarmu i mobilizacji, a więc ochrony człowieka uwikłanego w automatyzm mechanicznie, w oderwaniu od ludzkiego podłoża powstających koncepcji.

Zagalopowałem się? Majakowski dla swoich oponentów miał odpowiedź: „Wpadnijcie za tysiąc lat, pogadamy". Ja nie Majakowski, mnie wystarczy dwadzieścia. Poczekamy?

Ijon

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

Żona Michała zdecydowała się: urlop spędzą razem w Bułgarii.

(11)

Po kilku dniach Michał wpadł do domu niespodziewanie wcześnie i już z samego progu zawołał:

— Pojutrze możemy jechać do Bułgarii!

— Jak to pojutrze? Czyś ty oszalał? Co się takiego stało?

— Nic się nie stało. Wygrałem jedną szansę na milion: mam bilety na kuszetki.

— Załatwiłeś? — Żona spojrzała na niego z pewnym podziwem.

— Przypadek. Jakaś rodzina w ostatniej chwili zrezygnowała, dostałem cynk. I to wszystko. Urlop już też załatwiłem. Stary nie robił żadnych przeszkód.

— Sądzisz, że w ciągu czterdziestu kilku godzin zdołamy się zebrać?

— Musimy. Taka okazja!

— Dobrze ci mówić. Cały wyjazd znowu będzie na mojej głowie.

— A potem odpoczniesz. Pomyśl... Sozopol...

* * *

Michał porządkował właśnie swoje papiery, czyli wypełniał po brzegi przystołowy kosz redakcyjny, kiedy drzwi się lekko uchyliły.

— Czy można? — Usłyszał głos Mirki.

— Proszę. Siadaj. Co cię sprowadza?

— Nic. Chciałam cię przeprosić. Doszłam do wniosku, że wtedy, w „Dziurze", trochę się zagalopowałam. Nie powinnam tak mówić.

— Daj spokój, już zapomniałem. Z pewnością miałaś wtedy trochę racji.

— Widzę, że ciężko pracujesz.

— Porządki przedurlopowe.

— Idziesz na urlop? Nic o tym nie wien..

— Bo jeszcze nie zdążyłem ci powiedzieć. Widzisz, trafiła się okazja, dostałem bilety na kuszetki. Jadę do Bułgarii...

— Chyba jedziecie do Bułgarii?

— Nie bądź zgryźliwa, znasz przecież dobrze moją sytuację.

— No dobrze, jedź. Jej też się coś od życia należy. Mogę wiedzieć, kiedy zaczynasz te rodzinne wczasy?

— Wyjeżdżam z Warszawy jutro wieczorem.

— Ho, ho, to bardzo szybko się uwinąłeś. A o mnie nie pomyślałeś?

— Owszem, ale to nam nie ucieknie.

Mirka zapaliła papierosa. Zrobiła to tak szybko, że Michał nawet nie zdążył podać jej ognia. Przez chwilę panowało milczenie.

— Wiesz — ona pierwsza je przerwała — coraz bardziej dochodzę do wniosku, że ta nasza znajomość nie ma najmniejszego sensu. Jestem dla ciebie takim piątym kołem u wozu.

— Jak możesz tak twierdzić, Mirko, Miruniu... Ale przecież nigdy nie ukrywałem przed tobą...

— Nie ukrywałeś, nie ukrywałeś. Tyle razy już to słyszę, jakbyś nagrał na taśmę magnetofonową. Ale zrozum, że ja też jestem człowiekiem, czyli osobą myślącą. Zajmujesz miejsce w moim życiu, i to wcale nie marginesowe. Wprost przeciwnie. Dziś jest gorzej niż wczoraj, a jutro będzie gorzej niż jest dzisiaj. Dlatego czas już kończyć tę zabawę. Z każdym dniem coraz bardziej się do ciebie przyzwyczajam, a ty ciągle walisz mnie młoteczkiem po głowie, czyli po prostu sprowadzasz na ziemię. Oczywiście nie powinnam mieć do ciebie z tego powodu pretensji, raczej powinnam ci być wdzięczna. Ale to wszystko tak boli... Nie wiem, ale wydaje mi się, że wy, mężczyźni, jesteście zbyt chropowaci...

Teraz Michał zapalił papierosa. Chciał zyskać na czasie. I dlatego ucieszył się, kiedy w drzwiach stanął Czortyński.

— Nie było tu Porzeczkowskiego? O, przepraszam — zauważył Mirkę — nie przeszkadzam?

— Ależ skąd.

— Mam świetny materiał o szulerach karcianych. Wiecie, jakie w naszym mieście są meliny, jak urządzone? Na jakie stawki grają w pokera?

— Grałeś?

— Jak się chce dobry reportaż napisać, wszystkiego trzeba spróbować.

— Już mam nawet tytuł do niego: „Byłem szulerem".

— Nie żartuj. Ja mówię całkiem poważnie. Nie wiem tylko, czy mi puszczą.

— Z pewnością ujawniasz wielkie tajemnice. A potrafisz odróżnić karetę od koloru? Stary, poszedłbyś raczej do jakiegoś zakładu produkcyjnego.

— Na praktykę? O właśnie jedna moja koleżanka, studentka WSR, pojechała na praktykę do PGR. Kierownik wysłał ją z koleżanką, by pilnowały krów. Dziewczęta zmęczone posnęły, a krowy zjadły kopę siana. Ale była draka! O tych praktykach studenckich można by napisać piękny artykulik. Nie macie pojęcia, co się dzieje. Zakłady pracy traktują studentów, jak piąte koło u wozu....

Michał i Mirka uśmiechnęli się równocześnie. O piątym kole była tu już raz mowa.

— Dlaczego się śmiejecie?

— Nie z tego — powiedział Michał. — Ale co stoi na przeszkodzie, abyś się wziął za ten temat? Gdybyś się trochę odmłodził, sam byś mógł udawać studenta.

— Nic straconego. Teraz zresztą jest u nas taka moda, żeby przybierać różne postacie.

— Tylko uważajcie — odezwała się Mirka — aby ktoś do waszej redakcji nie przyszedł na praktykę i potem pięknie nie opisał, jak tutaj pracujecie...

(dcn)